№ 21. Warszawa, dnia 21 (9) Maja 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują; Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

PRZYPOMNIANY OBOWIĄZEK.

Kilkanaście dni zaledwie upłynęło od naszych uwag (w nr. 19) nad pierwszym wybuchem nienawiści do żydów w Cesarstwie, a już gwałtowny jej pożar rozpostarł się szeroko po guberniach południowo-zachodnich, dokonawszy zniszczenia, które dziś ekonomicznie obliczyć się nie da, które jednak, prócz strat doraźnych, w osłabionym kredycie, w nagłym zastoju handlowym zapowiada swe dotkliwe skutki. Kilka firm warszawskich zostało przez wypadki w Kijowie nadszarpniętych, innym zagranica cofnęła swe zaufanie, nawet wstrzymała wysłane towary, a przestraszona groźbą powtórzenia się podobnych zdarzeń będzie usiłowała zabezpieczyć swe stosunki z nami znaczną podwyżką cen towarów, dołączając do ich wartości możliwe straty. Wynik ten, o którym tłumy, rozbijające żydów nie pamiętały i wiedzieć nie mogły, byłby bardzo poważnym przedmiotem do rozmyślania; obecnie wszakże chcemy zwrócić uwagę na inną stronę sprawy, mianowicie: na zachowanie się naszej prasy i ogółu względem żydów, oraz na wypływającą stąd dla nich przestrogę.

Jesteśmy obowiązani i chcemy mówić *prawdę*. Otóż czyniąc zadość zarówno temu obowiązkowi, jak i tej chęci, wyznać musimy, że nasz ogół żydów nie lubi, prasa zaś z goryczą i niechęcią o nich wspomina. A jednak mimo to, jakże wobec wypadków w Cesarstwie, wobec rozrzuconych po Warszawie poduszczeń zachowały się już nie klasy oświecone, ale ciemny, prosty lud? Oprócz kilku bójek, które zdarzają się codzień i jedynie dzięki szczególnemu naszemu chwili nabrały większej wagi, nie słyszeliśmy przecie o żadnych szerszych i gwałtowniejszych starciach. Zapewnie wzmocnienie straży porządku publicznego, wieści o środkach bezpieczeństwa przedsięwziętych przez policyę, napomnienia prasy mogły wpłynąć na poskromienie rozjątrzonych i fanatycznych umysłów, ale czy one same przez się byłyby zdolne je okiełznać? Kijów znajdował się niemal w stanie wojennym, posiadał 30,000 wojska, a wszystko to nie wystarczyło dla opanowania wzburzonych żywiołów. Zresztą, przypuściwszy nawet, że wulkan w Warszawie zamknięto dość silnie, czyż na prowincyi, gdzie policya rozporządza bardzo słabymi środkami, ogień zemsty nie wybuchnąłby swobodnie, gdyby w usposobieniach ludności znalazł odpowiedni materyał? Dodajmy wreszcie i ten wzgląd mocno pobudzający, że u nas pierwiastek żydowski jest daleko obfitszy niż w Cesarstwie, że więc nienawiść, odczuwana szerzej, winnaby zapalić walkę na obszerniejszej przestrzeni. Tymczasem rzeczywistość zadała kłam temu rachunkowi prawdopodobieństwa. Lud, niecierpiący żydów, podszczuty na nich, niepowstrzymany w tym ruchu, nie napadł ani jednej karczmy wówczas, kiedy w Cesarstwie burzył całe izraelskie dzielnice. Ten spokój, ta godność zachowania się nie może być zasługą samych organów porządku publicznego, lecz niewątpliwie ma swe źródło w charakterze narodu, który umie panować nad swymi popędami i nie szuka dla nich zadowolenia w brutalnej rozprawie.

Takiż sam dług obywatelskiej powinności spłaciła polska prasa. Wszystkie pisma, bez względu na swe przekonania społeczne, potępiły surowo możliwość napadu na żydów i przemówiły do ogółu słowami uczciwej przestrogi. Z tych samych kolumn, z których zwykle odzywały się ostre izraelitom przygany a nawet nietajone wstręty, usłyszeliśmy wyrazy, zachęcające do zgody i poszanowania praw ludzkich. Najzaciętszy dziennik nie poszedł za śladem *Now. Wremieni* i nie radził powszechnego wygnania żydów. Rzec zatem można, że nasze społeczeństwo osłoniło ich takiem skrzydłem, jakiegoby im żaden inny, nawet bardziej ucywilizowany i tolerancyjny naród z większą gotowością w podobnych stosunkach nie zaofiarował.

Ze spełnionego wszakże obowiązku jednej strony wyłania się niemniej ważny obowiązek dla drugiej. Powiadamy, że chrześciańsko-słowiański ogół nasz żydów nie lubi, czuje się przez nich pokrzywdzonym w wielu interesach, widzi w nich świat odrębny i zwykle wrogi, a mimo to złożył im wymowny dowód szlachetności swych uczuć i prawości przekonań — czyż więc tym faktem nie pobudził ich, nie zobowiązał do usilnej pracy nad zgładzeniem różnic, nad usunięciem przeszkód i zasypaniem przepaści, nad podniesieniem się i zbliżeniem z ludnością, która przed wiekami otworzyła im gościnność a dziś zapewnia uczciwą opiekę? Czy wypadki w Cesarstwie, odbite na tle naszego spokoju, nie układają się dla żydów polskich w napomnienie, w przestrogę? Czytelnik pojmuje, że mówimy tu o *żydach* właściwych, o tej ciemnej azyatyckiej masie, która używa obcego języka, rządzi się odmiennymi obyczajami, przyrasta do pnia narodowego o tyle tylko, o ile z niego soki żywotne ssać potrzebuje — nie zaś o ludziach, którzy w aktach stanu cywilnego figurują jako wyznawcy starego zakonu a z ducha i życia, z dążeń i celów są polakami. Ci dla nas nie stanowią bohaterów tak zwanej „kwestyi żydowskiej," bo swoją powinność względem kraju spełniają. Co innego owa wielotysiączna masa, która z równą racyą etnologiczną istnieć by mogła we wszystkich częściach Europy, a nawet osiąś

w Azyi. W pytaniu: czy polacy mają się zizraelizować, czy izraelici spolszczyć, nie ma dwu odpowiedzi. Jeżeli zaś jest tylko jedna, jeżeli żydzi powinni się przekształcić, to niechajże ta przemiana następuje szybko i nie opóźnia rozwoju sił narodu, który na nią zbyt długo czeka. Zgodziwszy się w zasadzie na konieczność spolszczenia żydów, musimy wszystkie moralne i materyalne straty, wynikające z ich odrębności i z rozbratu dwu żywiołów, zapisywać na rachunek tego, który owo wyosobnienie podtrzymuje. Otóż, przyznać trzeba — i to jest najsmutniejszym punktem sprawy — że cywilizatorowie naszych izraelitów, ci z nich, którzy się zajmują oświecaniem i przerabianiem swych współwyznawców na gatunek krajowy, okazują niedość energii, niedość radykalizmu, niedość pospiechu. Prace swoje i zamiary rozłożyli oni na wieki, każdy nowy krok stawiają lękliwie, używają jedynie sposobów zaczajonego walenrodyzmu, i najdrobniejsze reformy owijają w powłoczki pielęgnowania najgrubszych przesądów. Gdyby nawet wszystkie ich pomysły nie chybiły celu, za tysiąc lat kraj miałby jeszcze żydów, utrzymanych w swym azyatyckim charakterze. Czasem tym apostołom postępu zdaje się, że wstawienie ławki do chederu sprowadza nową erę w życie polskiego Izraela. Ich książki, pisma, szkoły, wszystkie środki oświecania podtrzymują odrębność i budują „most przejściowy“ tak długi, że niewiadomo, czy go kiedykolwiek rzesza mojżeszowa przebędzie.

Według naszego przekonania kwestyę żydowską u nas rozwiązać może radykalnie i szybko tylko szereg aktów prawodawczych, znoszących wszystkie bezwarunkowo instytucye autonomii starozakonnej i zmuszających ludność żydowską do kształcenia się i działania w instytucyach wspólnych. Gdybyśmy przyjmowali udział w redakcyi tego rodzaju praw, zaostrzylibyśmy ich bezwzględność do możliwej surowości, nie dozwolilibyśmy ani jednemu żydowi uciec przed ogólną oświatą, istnieć ani jednemu starozakonnemu stowarzyszeniu, ani jednej szkole. Wtedy dopiero ów żywioł by się przerobił, zmięszał, upodobnił. Dopóki zaś żydzi mają u nas *swoje* pisma, *swoje* szkoły, *swoje* stowarzyszenia, dopóki im nic nie przeszkadza się wyosabniać a ludności polskiej wszystko przeszkadza temu wyosabnianiu zapobiedz, dopóki o zjednoczeniu się nie może być mowy. Izraelici są u nas poniewierani, prześladowani obyczajowo, ale jednocześnie uprzywilejowani, wywyższeni, obdarowani społecznie. Ich stowarzyszenia nie podlegają żadnym ograniczeniom, szkoły — żadnej kontroli, nawet język — małemu upośledzeniu. Podczas gdy język polski nie ma żadnych praw szkolnych, żargon żydowski posiada wszystkie. Jak rzekliśmy więc, państwo mogłoby znieść te nierówności i różnice, a przez wprowadzenie wspólnych instytucyj dla obu połów zaludnienia — przyspieszyć ich zbratanie się; ale, niestety, dotąd nie widzimy żadnych w tym kierunku działań. Dla tego też na ukształconych przewodników ludności żydowskiej u nas spada podwójny obowiązek energicznego wyprowadzenia jej z obecnego stanu. Obecne ich apostolstwo byłoby zupełnie wystarczającem, gdyby równolegle z nim pracowała potężna państwowa siła asymilacyi. Ponieważ zaś takiej siły brak, trzeba ją przynajmniej do pewnego stopnia zastąpić. Że zaś trzeba, najświeższe wypadki wykazały chyba niezbicie. One sprawę upodobnienia się żydów do ludności słowiańskiej postawiły jako zagadnienie ich życia obywatelskiego i śmierci. Dziś lub jutro pożar będzie zgaszony; ale kto zaręczy, że on z utajonych iskier znowu się kiedyś nie rozżarzy; kto zapewni, że tenże sam lud polski, który opiera się rozbójniczym podszeptom, nie ulegnie im kiedykolwiek w chwili zapomnienia i nie wywrze swej zemsty? Najszlachetniejszej strony nie należy wyciągnąć zbytecznie. Musiała ta prawda błysnąć jasno przed oczyma żydów naszych, skoro sam ich organ woła słusznie: „Póki czas, niech wielu z was zmieni swój tryb życia, rzuci swe przesądy, swe odrębności, swe narowy! niech staną się ludźmi swego czasu, obywatelami swego kraju! Starzy nasi wypowiedzieli gdzieś: gdy człowieka klęski nawiedzają, powinien rozejrzeć się w swych postępkach.“ Czy krwawa nauka doświadczenia, dana izraelitom gdzieindziej, spadnie płodnem ziarnem na grunt nasz? Czy będzie dla nich przestrogą życia, o której zapominać nie należy? Na to pytanie odpowiedzieć nam winna bliska przyszłość — a gdy czas potrzebny do objawienia się pożądanych przez nas dążeń upłynie, powrócimy do tej sprawy i zobaczymy, czy i o ile żydzi nasi spełnili ten przypomniany im obowiązek.

A. S.

SŁOWA PRAWDY.

I.

(Śpiący mistrze).

„Wstawajcie, panowie, do pługa, do siewu; szerokie łany naszej wiedzy leżą odłogiem, nieurodzaj lat wielu społeczeństwo zubożył; czy nie widzicie, jak wasi bracia w Galicyi nie schodzą z pola, jak pracowitsi między wami, tu w Warszawie, orzą niezmordowanie wyjałowioną niwę nauki!“

Dawno już chciałem temi słowy przebudzić naszych mistrzów śpiących w uniwersytecie; sądziłem jednak, że sami się ockną. Ale gdy ów sen ich trwa zbyt długo, lata całe, gdy literatura daremnie czeka na zebrane przez nich plony, odważyłem się na tę pobudkę.

Bo uniwersytet nie jest jedynie gmachem, w którego ścianach zamykać się może działalność jego przewodników; ich głosu słuchać winna cała ukształcona sfera społeczeństwa, do której on wszędzie przenika pod postacią dzieł poważnych. Tymczasem co uniwersytet warszawski daje naszej literaturze? Kilku wytrwałych badaczów rzeczywiście ją wzbogaca, a co ofiaruje reszta, większość? Widzimy często profesorów-polaków, zdobiących kolumny kurye-

---

*)

STARA POMPADUROWA

przez

M. E. Sałtykowa (Szczedryna).

III.

Dnie następowały za dniami. W głowie Nadziei Piotrówny wszystko się tak pogmatwało, że już nie mogła odróżnić *jeune fille aux yeux noirs* od *l' amour qu'est que c'est que ça*. Wiedziała napewno, że i to i tamto śpiewał jakiś pompadur, ale który mianowicie — określić stanowczo nie mogła. Ze swej strony, pompadur gorączkował się, tęsknił i popełniał błędy administracyjne.

Powoli, życie samotne znudziło Nadzieję Piotrównę i zaczęła wyjeżdżać. Pomimo to wszakże portret starego pompadura wciąż jeszcze stał na dawnem miejscu, a gdy wyjeżdżała na bal, za każdym razem zatrzymywała się przed nim po kilka minut, w całym blasku balowej toalety i piękności, żeby, jak się wyrażała, nie wyjechać, nie pokazawszy się swemu głuptaskowi. Bale następowały po balach, obiady po obiadach, a na każdym z nich stale spotykała nowego pompadura, który pożerał ją swemi oczyma. Nareszcie, zaczęła dostrzegać, że pomiędzy nim i jego poprzednikiem istnieje jakieś szczególne podobieństwo.

Długo nie mogła ściśle określić, na czem polega to podobieństwo, dopóki się wreszcie nie domyśliła, że obaj są „głuptaskami.“ Odtąd „stawanie przed portretem starego pompadura było już czczą formalnością.

Dokąd przyjechała, gdzie była, z kim rozmawiała, wszędzie i od wszystkich słyszała jedno: pochwałę nowego pompadura. Komisarz chwalił w nim szlachectwo duszy, sekretarz — mądrość, — adwokat bystrość i przedsiębierczość umysłu.

— Co pani sądzi, Nadziejo Piotrówna?— mówi adwokat: — pani sądzi może, że on na balach albo obiadach... że on się tam zajmuje jakiemi drobnostkami?... że się oblizuje na ramiona naszych pań?... Otóż nie!... On obmyśla jakiś środek dla zarządu! O, to taki człowiek! Nie może zrobić kroku, żeby czegoś nie postanowić!

— Tak, to prawda, — odparła w zamyśleniu Nadzieja Piotrówna: — lecz ja sie boję...

— Czego się pani boi? Pani przypuszcza może, iż jest trudny w pożyciu? Bynajmniej! Ot, jaki jest: musze krzywdy nie zrobi — ot jaki jest!...

Wzburzyła się i dobra staruszka Prochodimcewa, o której mówiono w mieście, że nie może przeżyć chwili, ażeby nie zrobić przysługi.

Ale pompadur był nieśmiały, co zresztą po części dało się tem wytłomaczyć, że nawet w jego liście stanu służby była wzmianka, iż w żadnych wojnach udziału nie przyjmował. Z łatwością obmyślał środki, ale zaledwie wstępował na arenę działalności praktycznej, okazywał się słabym i chwiejnym. Wszystkie jego kroki względem Nadziei Piotrówny były niepewne, a nawet poprostu głupie. Tak np. razu pewnego, na pewnym proszonym obiedzie, porwał w jej oczach gruszkę ze stołu, schował do kieszeni, a podając ją po obiedzie Nadziei Piotrównie — rzekł jakimś rozpaczliwym głosem:

— Jedz pani!

— Po co mi to? — zdziwiła się Nadzieja Piotrówna.

— Tak... więc to tak! — prawie krzyknął, jak gdyby kradzież gruszki gnębiła jego serce. A zaraz potem zarżał tak głupio, że stara pompadurowa nie mogła nie pomyśleć:

— Boże! jakiż on jednak głuptasek!

Drugim razem, na balu, długo stał przy niej w milczeniu i nagle wymówił:

— Jakbym pragnął, żeby w pani domu zdarzył się pożar!

rowe, widzimy ich w salach sądowych pełniących obowiązki reporterskie, ale rzadko spotykamy ich w dziedzinie umiejętności. I dlaczego? Czy przyjmując swój urząd, złożyli śluby niepokrzywdzenia go pracą dla literatury ojczystej? Nikt tej przysięgi od nich nie wymagał. Czemuż zresztą niektórzy godzą swój charakter urzędowy z udziałem w piśmiennictwie? Jeżeli profesorowie uniwersytetu nie zdobywają się na książki naukowe, to doprawdy trudno zgadnąć, kto się na nie zdobędzie. Z uzdolnień, z przygotowania, z możności, z czasu, z obowiązku wreszcie rola ta im przed innymi przypada. Niepodobna ją wkładać na wątłe ramiona dziennikarzów, ani na ludzi obarczonych brzemionami zarobkowego życia. Nie sięgajmy zbyt daleko i wysoko, nie przywódźmy przykładów z Niemiec, gdzie najskromniejszy docent składa na ołtarzu wiedzy poważne daniny; wystarczy dla pouczenia nas sama, z tylu względów niższa, Galicya. Biliński, Szujski, Bobrzyński, Smolka, Malinowski, Rostafiński, a nawet mniej uzdolnieni wzbogacają ojczyste piśmiennictwo. Kto u nas? Dwa, trzy, cztery nazwiska świecą na jego widnokręgu, inne pozostają w ciągłem zaćmieniu, nie przypominają się niczem społeczeństwu, które znikąd nie może się dowiedzieć, czy jego młodzież posiada odpowiednich przewodników. Pamiętamy dobrze o tej okoliczności, że sama natura wielu katedr nie pozwala na płodność piśmienniczą; że np. lekarz, pochłonięty przez praktykę i zajęcia kliniczne, nie może teoretyzować w książkach; ale poliezywszy najskrupulatniej wszystkie względy, wyprowadzimy z nich prawo do skargi. Łączność między uniwersytetem a ogółem, przecięta nową ustawą wszechnicy warszawskiej, nie spaja się wcale za pośrednictwem pisarskiej działalności jej polskich kierowników. Przejrzyjmy półki księgarskie, najszczegółowsze katalogi, nie znajdziemy w nich ani śladu pracy naukowej wielu profesorów od lat dziesięciu. To też niezetknięci bezpośrednio z tą instytucyą mogą słusznie zwątpić, czy w niej są profesorowie polacy.

Zaznaczyliśmy wyżej, że nie jest to bezczynność wymuszona; spytajmy teraz, czy ona wynika z braku sił, czy też z braku chęci? Jakkolwiek na pierwszą połowę tego pytania przypada może część przyczyn, niewątpliwie główne ich źródło tkwi w drugiej. Tak, profesorowie nasi nie chcą pracować po za katedrą; trudno bowiem przypuścić, ażeby ludzie, zajmujący najwyższe stanowiska naukowe, nie byli zdolni do żadnych prac naukowych. Dożywotność urzędów, osłabienie w nich żywiołu miejscowego a tem samem zatamowanie napływu sił świeżych, mogących wytworzyć współzawodnictwo, nader słaba, albo żadna przeciwwaga w łonie narodowościowo uprzywilejowanych—wszystko to składa się na ten zastój, na tę bezpłodność naukową naszego uniwersytetu, który jest niezwykłym okazem w wyższem szkolnictwie Europy. Szkoła Główna, otwierając swobodną drogę konkurencyi uzdolnień, pobudzała ciało profesorskie do ciągłych postępów, do życia. Dziś wszystkie pobudki prawie znikły, pozostała tylko jedna, nader słabo odczuwana—obowiązek względem własnej literatury. Studenci chodzą na wykłady i słuchają po setny raz bez zmiany powtarzanych prelekcyj, a gdy je odpiszą i odlitografują, mogą obejść się bez profesora i audytorium. Strumienie wiedzy, wylewające się z katedr, nie odświeżają jej nowymi przypływami, lecz tworzą stojące zbiorniki, z których młodzież ma gasić pragnienie nauki. Wykłady — to przesypywanie się piasku z jednej połowy klapsydry do drugiej, wskazujące przebieg godzin, ale niezmieniające swej zawartości. Daremnie wytężamy słuch w stronę uniwersytetu i oczekujemy, czy nie nadbiegnie wieść o jakiemś większem dziele, któreby dało myśli ogólnej materyał do przerobienia—zwykle cisza, której nie zamącają nawet przekłady, a którą czasem tylko radośnie przerwie jakiś poważniejszy plon pracy malutkiego kółka badaczów. Oby to było chwilowe zdrzemanie się mistrzów, oby oni zrozumieli, że katedra uniwersytecka nie jest jedynie *urzędem*, ale i powołaniem, które bardziej niż każde inne zobowiązuje do działalności naukowej, do bogacenia piśmiennictwa płodami głębszych i donioślejszych badań. Podczas gdy sztuka nasza wzlatuje w coraz wyższe kręgi, wiedza czołga się po nizinach i nie wznosi myśli społeczeństwa na odpowiednie wyżyny. A czy może być inaczej, jeśli ci, którzy powinni jej przypinać najsilniejsze skrzydła, zapominają o niej zupełnie? Nie wspominamy nazwisk ani tych, którzy czuwają, ani tych, którzy posnęli, bo nie chcemy naszych uwag ilustrować przykrym kontrastem. Niech ogólnikowa jednak pobudka nasza odezwie się w umysłach, do których jest wymierzona.

M. S.

LEOPOLITANA.

VIII.

Być może, iż tym z was, którzy czytali powieści p. Lama, a nie znają kronik jego, sąd mój o tym powieściarzu wyda się zbyt ostrym, owszem nawet i niesprawiedliwym; my jednakże, którzy czytamy co tydzień p. Lama, którym przeto dana jest możność komentowania tego autora własnemi pismami i śledzenia go krok za krokiem, nie możemy o nim sądzić inaczej. Niestety! trudno nam widzieć w jego utworach ów święty żar, którym płonąć winna pierś tego, co w dłoni swej trzyma bicz satyry,—ową *indignationem*, która według Juvenala *facit versum*, owego juliuszowego „jeżeli gryzę co, to sercem gryzę,“—owej dickensowskiej pod uśmiechem ukrytej łzy! Nie sposób nam również dopatrzeć tam mniej szlachetnych, lecz ze względu na ludzką naturę wytłomaczalnych pobudek, jakiemi byłyby zazdrość, uczciwość, lub nienawiść; — nie! nic zgoła jak tylko

---

— Na cóż to panu? zdziwiła się Nadzieja Piotrówna.

— Tak! Wtedy... wtedy własnoręcznie wyniósłbym panią z ognia!

Innym razem: — zapytał ją:

— Czy pani całuje kiedy swego Blamangeta?

— Co pana to obchodzi!

— Chcę wiedzieć!

— Czy pan nie zanadto ciekawy?

— Chcę wiedzieć!

— Nie... czasami...

— Doskonale! A wiesz pani, że Blamanget podobny jest do szybkobiega?

Czwartym razem napadł na Blamangeta i zaczął go całować.

— Co pan robi? — przelękła się Nadzieja Piotrówna.

— Całuję!

— Ależ przestań pan! czy pan nie widzi, że on cały zsiniał?

— Całuję! — powtarzał, okazując jakieś nienaturalne rozjuszenie.

Wogóle postępowanie jego było nietylko niepewne, ale i zagadkowe. Czasami, bierze Nadzieję Piotrównę za rękę, trzyma ją, gładzi, a potem szarpnie tak mocno, że ta aż krzyczeć musi. Czasami, zrywa się z krzesła jak ukłuty, chwyta czapkę i nie mówiąc ani słowa, zmyka do domu. Słowem, istniały wszystkie oznaki; brakło tylko jednego — wypowiedzenia.

Nadzieja Piotrówna sądziła, że mu przeszkadzał portret starego pompadura.

Zdjęto go ze stołu i powieszono na ścianie. Ale i stamtąd jak gdyby śledził. Wtedy radca dworu Blamanget zaproponował go przenieść, jako jego osobistego przyjaciela, do swego pokoju. Nadzieja Piotrówna zamyśliła się, westchnęła i... przystała.

Nie należy jednak sądzić, że nowy pompadur był kawalerem. Przeciwnie, miał żonę i dzieci; ale od rana do nocy całem zajęciem jego żony było jedzenie drukowanych pierników. Widok ten, znużył go tak dalece, że z rozpaczy o mało nie pogrążył się w czytaniu regestrów deficytowych. Ale i to zajęcie dawało za mało pokarmu dla umysłu i serca, ażeby zapełnić życie pompadura. Zaczął chodzić do zarządu i nudzić się.

Tymczasem skończył się sezon zimowy; nastąpił post; wiosna pachniała. Nadzieja Piotrówna czuła, jak pierś jej burzyła się i mdlała. Ażeby spotęgować przypływ życia, po całych godzinach stała przed otwartym lufcikiem, wdychając wilgotne powietrze, albo chodziła dziesiątki wiorst, nieustraszenie zagłębiając się w najciaśniejsze zakątki miasta. Zmęczona, na wpół rozbita, powracała do domu, rzucała się na sofkę i zamykała oczy. Ciężka, niespokojna drzemka na krótko obezwładniała jej członki, a całe setki pompadurów w długim szeregu przechodziły przed oczyma jej wyobraźni. Były tam rozmaite gatunki: i z wąsami i bez wąsów, i blondyni i brunecі, i z brodawkami i bez brodawek, i wielcy i mali; ale niestety! między nimi nie było jednego — nie było nowego pompadura! Nastąpiło z nim coś dziwnego: nietylko przestał chodzić pod jej oknami, ale nawet jak gdyby unikał jej spotkania. Jakoś nagle uciął.

„Czyżby tylko dobijał się o to, aby wycałować tego obrzydłego Blamangeta?“ Myślała czasami Nadzieja Piotrówna.

Pompadur walczył po części z swą nieśmiałością, po części kokietował. Nie mniej od każdego innego odczuwał on na sobie wpływ wiosny, ale jak wszyscy ludzie nieśmiali i zarazem samowolni, chciał, aby Nadzieja Piotrówna sama była mu posłuszną. W oczekiwaniu na tę chwilę, tak dalece spotęgował swą czułość dla żony, że nawet zaczął jeść z nią drukowane pierniki. W ten sposób płynęły dnie za dniami. Nadzieja Piotrówna napróżno łamała sobie głowę; publiczność oczekiwała w zdumieniu.

Publiczność ta dzieliła się na dwa obozy. Część jej, pod wodzą komisarza, stanowczo winiła we wszystkiem Nadzieją Piotrównę.

— Wszystko jej przebacząć! — grzmiał w klubie wódz niezadowolonych: — jedne-

chęć napiętnowania tej lub owej, wydawcy swemu wstrętnej osobistości!

To też czytuje ogół nasz utwory p. Lama przedewszystkiem dla podrażnienia nerwów, — a prawdy, któremi autor, niby cukrem posypuje swe powieści, nie wywołują w umyśle czytelników żadnej dyskusyi. Prawdy to zresztą banalne, jak świat stare i przypominające obrok duchowy *Powiastek dla grzecznych dzieci.* Zawsze i wszędzie bywali blagierzy i wyzyskiwacze w rodzaju pseudo-księcia w *Koroniarzu* i d-ra Mitręgi w *Dziwnych karyerach,* — od czasów też Adama i Ewy podobno potępiali ludzie zawsze i wszędzie takich niesumiennych opiekunów, i chłostali pisarze wszelkich stref i wieków wady i błędy te, których żadną miarą za społeczeństwu naszemu specyalnie właściwe poczytywać nie można. To też przechodzą czytelnicy powieści p. Lama nad etycznymi zamiarami autora bez dalszej rozprawy do porządku, a jedyna dyskusya, którą wywołują jego powieści, toczy się około pytania: czyli pp. X, Y i Z, których ogół poznaje w postaciach takiego Klonowskiego, hr. Skirgiełły lub d-ra Mitręgi sprawiedliwie zostali napiętnowani czerwonem żelazem, czyli nie? Pod tym względem zresztą nie szczędzi autor nieżyczliwości i kanibalskim instynktom ogółu pożądanych wskazówek, bądź to osłaniając postacie osób, które na pręgierzu postawić umyślił, nader przezroczystym pseudonymem, bądź to wplatając w opowiadanie swe pod formą epizodów powszechnie znane anegdoty z życia tych ludzi, tak iż co do tożsamości osoby najmniejsza istnieć nie może wątpliwość. Idzie więc, jak już powiedziałem, jedynie o to, czy pp. X, Y, Z, będący zazwyczaj wybitnemi w społeczeństwie osobistościami, dopuścili się istotnie zarzuconych im postępków, czy nie. Świetlejsza, zaciekawsza, lepiej ze stosunkami obeznana część publiczności protestuje przeciwko ludziom niewinnym wyrządzonej krzywdzie; — lekkomyślni i nieżyczliwi — a gdzież ich nie masz? i któż ich nie ma? — przyklaskują działaniu moralnej gilotyny; źli zaś i przewrotni lubują się widowiskiem druzgotania tego, który im wymuszał cześć posągu, znajdując w tem, że obnażona i w błoto strącona postać nie była pomimo dobrej swej sławy wolną od brudu i przywary, usprawiedliwienie własnej ciemnoty.

A jestto właśnie jedną z najszkodliwszych stron działalności pana Lama, że oddawszy satyryczne pióro swe w usługę polityce, a patrząc zawsze przez pryzmat swego wydawcy, obiera za cel swych pocisków ludzi takich, którzy, bądź co bądź, nie wchodzą już w istotną pobudkę ich działania, czegoś chcą, ku czemuś zmierzają, do czegoś się palą, i parci tą wewnętrzną sprężyną, która być bardzo może, iż jest ambicyą lub interesem, zajmują się sprawami publicznemi i przedstawiają w społeczeństwie naszem żywioł czynu i ruchu. Galicya nie choruje wcale na zbytek takich ludzi; owszem nawet główną jej niemocą jest apatya ogółu dla spraw publicznych, oraz, mianowicie w tych warstwach, na które majątek, urodzenie i stanowisko największe powinności włożyło brzemię, zupełny brak poczucia obowiązków. Panuje tu niemal wszechwładnie rozkładcze samolubstwo, chełpiące się tem nawet cynicznie, iż oprócz siebie nic zna nic na świecie, że żyje tylko dla użycia, że nie uznaje obowiązków, jakie od każdego człowieka wymagać mają prawo ludzkość, społeczeństwo, rodzina, ba, nawet proste poczucie obowiązków honoru. Tymczasem nie doznaje ten świat Decamerona, kotłujący się na społecznej powierzchni naszej jak nieczysta szumowina, a wnoszący złym swoim przykładem do naszego organizmu trujące zarazki— ze strony p. Lama żadnej chłosty. Owe *panny Lale,* z patronem modnym zamiast duszy, które zaczynają zawód swój romansem z nauczycielem muzyki lub rysunków, — później wychodzą za mąż dla tytułu, pozycyi, majątku, karet, brylantów i koronek, a następnie porzuciwszy męża i dzieci, przechodzą jak grat tuzinowi kochanków z ręki do ręki, aż odarłszy ich po kolei do nitki zakończą dziwną karyerę swą na barykadach komuny, w więzieniu Maras lub domu waryatów. — owi JW. Don-Żuani, owe hrabskie Cigisbeje, *Arthure'y* i *Louis'y,* trudniący się z rzemiosła uwodzeniem mężatek, ogrywaniem dudków, stręczycielstwem i lichewką, — słowem cała ta gangrena społeczna, która dzięki zeszłorocznym Lupercaliom zaczyna u nas dziś pod błogimi rządami Dionyzosa dochodzić do wpływu i znaczenia, zdaje się wcale nie istnieć dla nadpełtwiańskiego Juvenala. Więcej nawet powiem, jeżeli pod rozwagę weźmiemy *idealistów,* gdzie „życie na żart" znajduje pewne usprawiedliwienie; jeżeli się zastanowimy nad cyniczną nutą, odzywającą się nader często w kronikach p. Lama i jego powieściach; jeżeli wreszcie zważymy, że bicz jego satyry dosięga zawsze tylko czynnych i ruchliwych, to dojdziemy do wniosku, że świat *nieobecnych,* o którym wyżej mówiłem, cieszy się nawet pod pewnym względem jego sympatyą. Bądź co bądź syntezą kronik i powieści p. Lama będzie zawsze i z jakiejkolwiek się mu przypatrzymy strony — obrok duchowy: „Błogosławieni są ci, co nic nie robią, co niczego nie chcą, co się nie rwą do niczego, albowiem wolni będą od chłosty satyrycznego bicza p. Lama."

Kierunek ten myśli, z kronik i powieści p. Lama tak jaskrawo w oczy bijący, trudnym jest do pojęcia, i dlatego to szukając pierwszych jego powodów widzieć ich muszę w dziejach młodzieńczych lat naszego autora. Wpływy późniejszego jego otoczenia utrwaliły go w raz powziętym kierunku, który oczywiście znalazł echo wdzięczne pomiędzy ludźmi żyjącymi „na żart," i smakującymi przeto w zuchwałym jego dowcipie, a znajdującymi w jego aż do paszkwilu zaostrzonych satyrach usprawiedliwienie własnej mizeroty. Ludzie ci otaczający naszego autora wiecznymi hołdami i pochlebstwem, są istotną plagą p. Lama, nie dozwalają mu bowiem wrócić do poważniejszego na świat poglądu. Z natu-

---

go tylko przebaczyć jej nie mogę: dlaczego zgnębiła najszlachetniejsze serce w świecie!

Druga część, przeciwnie, uniewinniała ją. Twierdzono, że pompadur sam winien wszystkiemu, że z początku pociągnął najszlachetniejszą kobietę na świecie, a potem, przez swą powolność nie do darowania, postawił ją w fałszywem położeniu.

— Zamiast łazić do zarządu i prawić o niebieskich migdałach, raczej przystąpiłby do rzeczy! — mówili obrońcy.

Bądź co bądź, Nadzieja Piotrówna zaczynała się przekonywać, że szacunek dla niej zmniejszał się z dniem każdym. To nagle na jakim dobroczynnym koncercie odpędzą jej karetę na szary koniec, to znowu furmana jej bez przyczyny ochłoszczą w cyrkule, to Blamangetowi powiedzą w oczy jaki najzjadliwszy docinek. Nigdy dawniej nie zdarzało się coś podobnego, a wszystkie te małe nieprzyjemności tem silniej drażniły jej serce, że stary pompadur rozpieścił ją pod tym względem do ostateczności.

Wreszcie, puściły i wylały rzeki; w polu pokazała się pierwsza trawka: w sąsiednim stawie zaskrzeczały żaby, w sąsiednim gaju zanucił słowik. Do Nadziei Piotrówny zaczęły dochodzić wieści, że już ma rywalkę, w osobie jakiejś tatarskiej księżny Ułabienkowej, którą partya niezadowolonych umyślnie sprowadziła z gubernii kazańskiej.

— Dlaczego odegrał on ze mną tę komedyę? — pytała siebie, biegając w rozpaczy po pokojach i krupiąc cały swój gniew na Blamangecie.

Pewnego razu męczyła się, jak zwykle, spacerem po ulicach miasta, gdy nagle na rogu jednej z nich spotkała oko w oko samego pompadura. Był zachwycający jak dawniej, chociaż mu kilka krost wyskoczyło na twarzy.

— Czemu to pan przestał mnie odwiedzać? — zapytała głosem, w którym słychać było i wymówkę i surowość.

Pompadur zmięszał się i zaczął pleść o jakiemś głupstwie kancelaryjnem.

— Jak pan śmiesz mnie nie odwiedzać?— nalegała, nie słuchając jego tłomaczeń.

Była we wzruszeniu, nie dającem się opisać; głos jej drżał; na oczach błyszczały łezki. Ta kobieta, zawsze na tyle skromna, miękka a nawet słaba, doszła nagle do takiego gniewu, że pompadur zaczął się obawiać, aby na ulicy nie dostała spazmów.

— Wiem, wiem wszystko, co pan robisz! — mówiła dalej, pełna wzburzenia:— bierzesz się pan do tej obrzydłej tatarki!Ośmiel się pan tylko nie przyjść dzisiaj do Olgi Siemionówny!

Pompadur nie oponował. Pojął on, że losy jego roztrzygnięte.

IV.

Serca ich zapłonęły...

Ale jako sumienny dziejopisarz, nie mogę ukryć, że nowe pompadurstwo Nadziei Piotrówny o wiele nie odznaczało się tak łagodnym charakterem, jak pierwsze. Przeciwnie, zamanifestowało się ono kilkoma okrucieństwami, które, zdaniem mojem, były co najmniej zbyteczne.

Po pierwsze, księżnę tatarską Ułanbekową niezwłocznie *fiut!* i osiedlono w mieście Świażsku, przy brzegu rzeki Świagi z Wołgą.

Powtóre, komisarz dostał dymisyę, a innych niezadowolonych zesłano na wygnanie.

Potrzecie, żonę pompadura pozbawiono ostatniej przyjemności: wzbroniono jej jadać drukowanych pierników.

Poczwarte, z Blamangetem postąpiono tak dalece brzydko, że niepodobna powtórzyć.

KONIEC.

ry dobroduszny i miękki ulega on ich wpływom, i niejeden z grzechów p. Lama był tylko wynikiem ich podszeptu, oraz owego samarytańskiego współczucia dla moralnych rozbitków, które go parło nieraz w szranki w obronie spraw i sprawek ich osobistych, a czasami nie zupełnie sprawiedliwych. Z dziejów tego najbliższego otoczenia p. Lama składającego się niestety! z ludzi lżej sobie ważących obowiązek, mógłbym wam tu opowiedzieć historye pełne tragicznej grozy, świadczące wymownie, jakie się z atmosfery „życia na żart“ z czasem wyradzają moralne choroby. Nie myślę jednakże pisać powieści w rodzaju Gaboriau, a zajmuje mnie jedynie osobistość pisarza, którego radbym z duszy wyrwać z pod wpływu zgubnego jego pochlebców i wyzyskiwaczy. Teorya bowiem realistów o wpływie owego *milieu*, w którym człowiek żyje, nie jest wcale mrzonką, a pierwszą przyczyną szkodliwej często działalności p. Lama jest z pewnością to, w którem żyje, otoczenie.

(Dokończenie nastąpi).

PISMA BOLESŁAWA PRUSA

(tom pierwszy, Warszawa 1881).

Są książki, których czytanie sprawia taką przyjemność, jak rozmowa z człowiekiem szlachetnym i rozumnym, co każdem słowem trafia do serca, co otacza wyobraźnię naszą niewidzialną nicią współczucia dla cierpień i radości ludzkich. Gdym szybko pochłaniał pięć nowelli, zawartych w pierwszym tomie pism Prusa, zdawało mi się, że słyszę samego autora, który z nieocenioną szczerością i prostotą, mówił do mnie: patrz, jak to życie maluczkich i biednych pełne jest cichych skarg i niewymownych niedoli; patrz, ile tu natur szlachetnych a pięknych marnieje w smutnych uściskach nędzy życia, jak fatalizm losu chwyta w swe kleszcze słabych i maluczkich; jak krzywdy biedaków bywają czasami pomszczone.

I oto, w najprostszych faktach życia biedaków, w najzwyczajniejszych postaciach codziennych, ujrzałem całe dzieje dusz ludzkich i obrazy tych nędz, których samo istnienie jest smutnem urągowiskiem dla naszego wieku. Nie znaczy to jednak, aby autor, opisujący te dzieje, sam ukazywał swą fizyognomię, żeby kładł postaciom swoje myśli w usta, albo kazał im opowiadać o swoich poglądach filozoficznych. Bynajmniej.

Prus opisuje poprostu, prawdziwie, ciepło, wiernie, wyraźnie, ale sam kryje się po za wizerunkami ludzi i rzeczy. Czasami tylko miga między słowami jakiś uśmiech na pół pogodny, na pół ironiczny, chwilami bolesny i zgorzkniały; to znowu usłyszysz zgrzyt głębokiej a skupionej satyry, ale wszędzie czujesz podsłuchane tętno życia realnego, pochwycone jego barwy i kształty. Wyobraźnia twoja upaja się opowieścią, jak szeregiem nowych widoków, w których poznajesz znajome ci szczegóły, ale czujesz, że panuje w nich jakiś nastrój, jakiś ton, któregobyś sam nie pochwycił, jakieś ciepło, któregobyś sam nie odczuł, jakiś wdzięk, któregobyś odrazu nie zauważył. Zdarza nam się czasem, że dopiero pod pędzlem artysty skromny widoczek, nędzna lepianka oparta o skałę, młyn klekocący nad strumieniem nabierze wdzięku i piękności, których nie moglismy w nim dopatrzeć w naturze. Zupełnie podobne wrażenie robią nowelle Prusa, który posiada tylko istotnym talentom właściwy dar upatrzenia stron nowych i zajmujących w przedmiotach z pozoru najbardziej pospolitych i podniesienia ich do wyżyn prawdziwej sztuki. W pierwszem zaraz opowiadaniu *Przygoda Stasia* treść drobna, anegdotyczna niemal, nabiera wielkiego uroku skutkiem wdzięku, humoru i prawdy szkicowania wszystkich postaci i epizodów tego zabawnego zdarzenia. Treść jego na pozór taka błaha, że trudno pomyśleć, aby według dawnych zwłaszcza pojęć akademickich mogła służyć za wątek chociażby najdrobniejszej nowelli.

Małgosia, kowalowa żona, idąc do swego ojca młynarza w gościnę, wiezie wózkiem małego Stasia, a ponieważ słońce dopieka a droga idzie pod górę, więc dyszel dziecięcego pojazdu zaczepia o oś wolanta p. Łoskiego. Nagle wolant ruszył z góry, porwał za sobą wózek i popędził cwałem, znikając z oczu zrospaczonej matki, która dopiero odnalazła stratę za pomocą nadjeżdżającego dryndulką organisty. Cała przygoda jest wypadkiem pospolitym, na pozór małoznaczącym, a jednakże ileż autor nadał barwy i bogactwa swemu opowiadaniu, jak żwawo i zręcznie przeprowadził całą czeredkę typów wiejskich, szkicowanych z natury!

Jak prawdziwym w każdym szczególe jest naprzykład opis zalotów kowala do młynarzówny a zwłaszcza owa niezrównana w swej prostocie rozmowa młodej pary, zakończona energicznym pocałunkiem, będąca żywym przykładem, że nawet erotyczne sceny w utworach ludowych mogą się obejść bez przyboru sztucznej frazeologii; a jak prawdziwie opisane pożycie kowalowstwa, wzrost małego Stasia, kłopoty macierzyńskie Szarakowej, jej wielka nieprzyjaźń dla organisty, wywołana sprzeczką w szynkowni; z jakim pysznym humorem odmalował autor nieporozumienie, które wprowadza w dom p. Łoskiego, mały Stasio uważany jako owoc nadetatowych powodzeń miłosnych pana sędziego, który nie odznaczał się wcale obojętnością na kobiece wdzięki, a grzeszków widać miał tak wiele, że w najkomiczniejszy sposób przyjął na siebie zaszczyt niespodziewanego ojcowstwa. Od początku do końca, od pierwszej do ostatniej chwili wszystko tu szczere, barwne, prawdziwe, świecące życiem i swobodą. Raz jeden tylko w tej prostej gawędzie zadźwięczała jakaś niewłaściwa nuta, gdy autor kazał Małgosi młynarzównie, bujającej czółnem po stawie, zapytywać się: „czy jej własny byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy do koła“? Czytając ten frazes, cieszymy się istotnie, że Małgosia została następnie tylko kowalową; bo gdyby naprzykład jakim zbiegiem okoliczności dostała się na pensyę albo na wyższe kursa, to możeby potem pisała traktaty metafizyczne na utrapienie mózgów człowieczych.

Oprócz tej drobnej niewłaściwości autor od początku do końca jest tu malarzem prawdy, wystudyowanej i odczutej w najdrobniejszych szczegółach, oddanej z barwnością, ożywionej odblaskiem pewnego wdzięku i pogodnego humoru. W tej powiastce widzimy jasny, wesoły horyzont życia, który w innych zaciemnia się posępnie a czasami nawet ponuro. Trzy opowiadania: *Antek, Michałko i Sieroca Dola*, są niezmiernie prostymi a wzruszającymi opisami dolei istot, wydziedziczonych z dobrodziejstw, jakie rozciąga nad ludźmi opiekuńcza dłoń rodzinnego życia. Antek, syn matki komornicy, jest naturą inteligentną, która do zwyczajnych ciasnych warunków życia wioskowego nie może się dopasować, i musi szukać nieznanego losu w błędnej tułaczce po świecie. Prus, opisując jego dzieje, kreśli świetnie a prosto sceny godnej politowania ciemnoty i nędzy wioskowej.

Obraz leczenia chorej dzieweczyny upieczonej żywcem przez znachorkę, która chciała tym sposobem wypędzić z niej chorobę, obraz nauki szkolnej prowadzonej przez ciemnego bakałarza, który uczy pół roku trzech liter alfabetu, zapędza chłopców do skrobania kartofli i na *rozgrzewkę* częstuje rózgami; nareszcie opis terminu u kowalskiego majstra, wszystkie te sceny są smutnemi ilustracyami klęsk umysłowych i moralnych, trapiących nasz lud wiejski, ukazują zatem stan fatalny, w którym lepiej stworzone przez naturę siły umysłowe ginąć muszą, albo iść w świat inny na niepewną wędrówkę.

W Michałku widzimy tułaczkę biednego chłopskiego sieroty, co musi także chleba szukać po świecie, bo u siebie niema rodzinnego dachu, pod którymby złożył głowę. W duszy tego głupowatego, przybitego nędzą chłopa tlą iskry uczuć szlachetnych, powstają pragnienia serca, ale wrzawa życia na każdym kroku ogłusza go i upokarza. W Warszawie dziewczyna robotnica oszukuje go i wyłudza pieniądze, aby je oddać kochankowi, który ją bije i poniewiera, kontroler budowli okrada go z zarobków, a gdy wisiłkiem bohaterskiego prawie poświęcenia udało mu się uratować człowieka z pod gruzów walącego się domu, Michałko, zafukany przez jakiegoś ulicznego gapia, uciekł co żywo, bojąc się „kozy i policyi.“

W *Sierocej Doli*, która jest jedną z najpiękniej i najlepiej wystudyowanych powiastek, Prus opisuje cierniową dolę Jasia, syna ubogiej wdowy, który razem z matką kosztuje goryczy upokorzenia u krewnych, potem pędzi parę lat szczęśliwych u poczciwego szlachcica, gdzie jego matka jest guwernantką, następnie po jej śmierci dostaje się w Warszawie do domu pana Karola, lubiącego się bawić w filantropię. Wśród grona „grzecznych, moralnych i miłosiernych maryonetek“ Jaś, nielubiony i trochę prześladowany, wegetuje, nie doznając opieki prawdziwie rodzinnej, aż nareszcie za drobną psotę oddają go do terminu, z którego ucieka, niesłusznie posądzony o kradzież, i dostaje się w ręce włóczęgów ulicznych, którzy go dręczą i wyzyskują. W okropnem położeniu ratuje go dopiero poczciwy szlachcic, co dawniej dał schronienie i uczciwą pomoc jego matce. Powiastka ta, przejmująco rzewna i prawdziwa w każdym szczególe, zaleca się obok sympatycznego i wiernego malowania figury samego Jasia, bardzo dobrym szkicowaniem wszystkich obcych rodzin, do których los go rzucał.

Najlepiej udał się tu autorowi pełen subtelnej ironii obraz blagerskiej rodziny warszawskich filantropów, traktujących wielkie dzieło miłosierdzia jako modną zabawkę, okłamujących się dobrowolnie szumnymi frazesami.

Palącego zagadnienia społecznego dotyka Prus w bardzo pięknem opowiadaniu *Powracająca fala*, opartem na stosunkach fabrycznych. Są to z nagą, wstrząsającą prawdą kreślone dzieje nielitościwej przemocy i egoistycznego wyzyskiwania pracowników przez fabrycznego spekulanta, niemca, wiernego oslawionej zasadzie, że siła idzie przed prawem. Na tle opowiadania wybitniej tu szerokimi kreślona rysami ogromna muskularna postać Adlera fabrykanta, który całym wysiłkiem energii dąży do zdobycia upragnionego miliona, krzywdząc niemiłosiernie niewolników, wplecionych w koło fabrycznej produkcyi, idąc naprzód ku swemu celowi bez względu na ludzkie klątwy i złorzeczenia. Ten brutalnie potężny charakter, w którym szalona namiętność zysku zagłuszyła wszystkie prawie uczucia, uczuwa fanatyczną miłość rodzicielską, nieobcą najdrapieżniejszym często naturom. Jakby chcąc okazać, że wstrętne rysy tej postaci nie są wynikiem plemiennej niechęci, autor kreśli w kontraście z nią przepyszny wizerunek szlachetnego pastora Böhme, w którym łączą się nader szczęśliwie rysy zabawne z idealnie szlachetnym gruntem cha-

rakteru. Pastor jest tutaj rzecznikiem moralnej sprawiedliwości i przepowiada fabrykantowi, że tak samo jak na gładkiej powierzchni jeziora kołyszące się fale wracają często do punktu, z którego wyszły, tak i fale krzywdy ludzkiej wracają się ku samemu sprawcy.

Przestroga pastora sprawdziła się, bo oparł ją na życiowem prawie akcyi i reakcyi. Na Adlerze mszczą się nie uciśnieni przezeń robotnicy, ale karze go poczucie ogólne, które znalazło wyraz w człowieku posiadającym odwagę ciwilną. Syn Adlera birbant, trwoniący zyski ojca okupione krwawą pracą tysiąców, doświadcza tej kary moralnej, bo znajduje dłoń odważną, która nie chce jego ręki uścisnąć. Staje do pojedynku i pada ugodzony kulą w piersi. W duszy starego Adlera budzi się jakaś straszna, dzika rozpacz, tak, że w chwili obłędu podpala on fabrykę i sam pada wśród jej gruzów.

Ten tragiczny epilog powieści, przedstawiony z siłą i majestatem, byłby może zużytym melodramatycznym efektem, gdyby autor nie uwydatnił starannie jego przyczyn w energicznej a samolubnej naturze swego bohatera, będącego nietylko postacią żywą, ale typowem uosobieniem niesumiennych instynktów wyzyskiwacza pieniężnego i tyrana.

Powieść ta jest nietyle wymierzoną przeciw zaborczej spekulacyi germańskiej, gdyż autor nie ukazał bynajmniej w Adlerze walczącego pionka *kulturkampfu*, ile przeciw tej wielkiej niesprawiedliwości społecznej, która stworzyła dzisiaj nową formę niewolnictwa i oddała miliony rąk na ofiarę bezwzględnej samowoli wyzyskiwaczów. Dążność jej społeczna wciela się całkowicie w przedstawione fakta, a obok doskonałej charakterystyki głównych postaci autor całe tło utworu złożył z dobrze wystudyowanych rysów fabrycznego życia.

Tak więc począwszy od wesołej anegdoty, okraszonej humorem, od prostej opowieści aż do opisu tragedyi fabrycznej, talent Prusa we wdzięcznej dla siebie formie nowelli zawsze jest na wysokości zadania. Żaden z tych utworów nie zdumiewa pomysłami kompozycyi, nie okazuje mistrza w prowadzeniu powieściowego wątku. Prus nie ucieka się nigdy do aparatów intrygowych, nie ma istotnie daru architektoniki artystycznej. Prawdę mówiąc, on tego nie potrzebuje. Jego celem nie jest bynajmniej tworzenie pięknie odmierzonych kombinacyj faktów prawdopodobnych, albo wymyślonych, ale poprostu obrazowanie prawdy realnej jako takiej.

Nie w gromadzeniu zawikłań zewnętrznej przypadkowości, ale w uwydatnieniu charakterystycznych lub głębszych rysów w zwykłych objawach powszedniego życia, w ich malowaniu wyrazistem, bogatem a sympatycznem, leży siła artyzmu Prusa. Jest on realistą z krwi i kości, realistą w najlepszem znaczeniu tego słowa, opierającym swą twórczość na trafnej i bogatej obserwacyi; umie malować życie naszych warstw społecznych bez przesady i ogólnikowości, w rysach dosadnych a sympatycznych. W ramach przeważnie rodzajowych talent jego okazuje wielką świeżość i oryginalność, gdyż nikogo nie przypomina i od nikogo się nie zapożycza.

Nie szukajcie tu głębszej analizy charakterów, nie szukajcie wymyślnego kunsztmistrzowstwa; ale każda postać odczuta i postawiona żywo, chociaż po większej części zewnętrznie, każda scena, każdy obraz przedstawiony we właściwym tonie i oświetleniu. Zwykle cała uwaga autora skupia się na jednej figurze, modelowanej z natury bardzo szczegółowo, wybitniejącej na tle całego szeregu innych postaci, szkicowanych, chwytanych w pobieżnych, chociaż wyrazistych szkicach. Jestto realizm świeży, bogaty, zdrowy, niegardzący szorstkością, ale stroniący od naturalistycznej przesady, od akcentowania rysów nieestetycznych, od ukazywania w człowieku przewagi instynktów zwierzęcych.

W obrazach ściśle przedmiotowych otwiera Prus szersze widoki na niedolę zbiorowe, logiką faktów ukazuje namacalnie różne cierpienia i nienormalności w układzie stosunków społecznych. Nie rozprawia o nich jako filozof, nie chce leczyć jako socyolog lub reformator, bo pamięta, że jest artystą, więc chce, aby każda niedola skarżyła się sama za siebie. Ale jednocześnie jest on tendencyjnym przez sam wybór przedmiotów, przez szczególne zwrócenie wzroku na tę niedolę w nizinach społecznych.

Na tem właśnie polega głębsze znaczenie jego pięknych, prostych i wzruszających powieści, na tem polega zarazem ich idealny, demokratyczny pierwiastek, ozłacający te często prawdziwe obrazy odblaskiem poezyi.

J—i.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Wycieczka w Czorsztyńskie skreślił *Bronisław Gustawicz*, nakład F. Sulimierskiego, Warszawa 1881.

Praca ta jest bardzo sumiennym opisem okolicy na skraju ziemi naszej u podnóża Pienin leżącej. Autor opowiadając swoją wędrówkę, przedstawia nam się nie jako dyletant turysta, chcący zająć, zabawić albo popisać się artystycznem obrazowaniem, ale jako skrzętny geograf, zbierający rozmaite dane dziejowe, artystyczne i etnograficzne o zwiedzanej okolicy.

W pierwszym rozdziale znajdujemy tu obraz doliny Sądeckiej, Nowego i Starego Sącza, z uwzględnieniem bardzo dokładnem dziejowych kolei obu miejscowości. Pod tym względem p. G. jest bardzo sumienny i szczegółowy, opiera się na archiwalnych źródłach, gromadzi wszystkie możliwe szczegóły z dawnych kronik, nowszych monografij historycznych oraz statystycznych, okazując niepospolite oczytanie się w historyografii naszej. Opisując kościoły w Nowym Sączu, podaje wiadomość o kilku ciekawych pomnikach, niszczejących pod wpływem czasu i wandalizmu a z tego powodu wypowiada (str. 31) kilka trafnych uwaga o pospolitem w naszym kraju lekceważeniu cennych zabytków przeszłości.

W rozdziale II opisuje p. G. drogę z Sącza do Czorsztyna, wspomina nieco obszerniej o wsi Jasowsko, o dziejach tamtejszego kościoła, o grabieżach, jakich dokonywał tu w latach 1707 — 1709 Stanisław Lubomirski, starosta sądecki, następnie obok innych szczegółów mówi o Krościenku i jego zdrojach mineralnych, zostających obecnie w zaniedbaniu. W opisie samych ruin Czorsztyńskiego zamku uczuwamy brak artystycznego polotu i zdolności do obrazowania, która bodaj w małym stopniu byłaby tu bardzo przydatną. Pod tym względem autor wyręcza się malowniczym wierszem Bałuckiego, starając się i w innych miejscach okrasić swą pracę cytowaniem wyjątków. Opisowi dziejów samego Czorsztyna autor poświęca połowę książki, gromadząc w czterech jej rozdziałach mnóstwo danych i faktów, zgromadzonych ze źródeł archiwalnych i opracowań dziejowych. Znajdujemy tam między innemi ciekawe szczegóły i podania o skarbach Piotra Wydżgi, szlachcica, który ofiarował je krzyżakom; mamy mnóstwo dat i zestawień dziejowych o rodzinie Wydżgów, o Zawiszy Czarnym i stosunkach Władysława Jagiełły z cesarzem niemieckim Zygmuntem I z powodu spraw husyckich. W rozdziale V opowiada autor dzieje starostów czorsztyńskich a szczególniej pełne gwałtów i zdzierstw rządy Siemieńskiego i Baranowskiego (syna), którzy na końcu XVI i początku XVII wieku szerzyli dokoła bezprawia, uciskając lud miejscowy, grabiąc go i gnębiąc daninami.

Pomimo całego chłodu i spokoju opowiadania, które ogranicza się na ścisłych datach i faktach, karty te są wymownym przyczynkiem do smutnego obrazu wewnętrznej anarchii dawnej Polski i dają wyobrażenie o samowoli satrapów prowincyonalnych, których zaledwie powściągnąć mogła władza królewska, znosząc długo ich wybryki i nadużycia.

Bardzo ciekawym jest w rozdziale VI opis buntu naturalnego syna Władysława IV, Aleksandra Kostki Napierskiego, który w r. 1651 starał się wśród ludu wiejskiego oraz górali wywołać ruch powstańczy na korzyść Chmielnickiego, zajął podstępem Czorsztyn i następnie pojmany przez pułkownika Wilhelma Jarockiego, zginął sromotnie wbity na pal w Krzemionkach pod Krakowem. Dzieje tej oryginalnej osobistości, mającej pewien urok romantycznego zuchwalstwa ujął w formę dramatyczną p. Wincenty Rapacki w niewydanym jeszcze dramacie p. t. *Herszt*, w którym oparł się dość wiernie na dziejowych danych, jak to możemy osądzić, znając ten utwór w rękopisie. Opowiadanie tragicznej awantury Napierskiego w książce p. Gustawicza wolnem jest naturalnie od poetycznej okrasy dramatu, niemniej jednak jest bardzo zajmującym epizodem dziejowym, który świadczy, że u nas nie brakło dawniej bohaterów poetyczno-awanturniczych. W rozdziale VIII p. G. opisuje dalsze dzieje zamku Czorsztyńskiego od Jana Kazimierza aż do dawniejszych czasów, prostując niesłuszne a potwarcze oskarżenie obecnych dziedziców Czorsztyna, Drohojowskich za to, że burzyli mury zamczyska i używają gruzów do budowy dworca. Oskarżenie to, rzucone fałszywie przez Lucyę z ks. Giedroyców Rautensztrauchową w książce *Miasta góry i doliny* wydanej w Poznaniu r. 1844, wędrowało przepisywane zwyczajem wielu naszych „oryginalnych“ autorów, jak za panią matką pacierz w różnych książkach i opisach geograficznych a nawet podręcznikach szkolnych. Autor zbija niedorzeczność tego oskarżenia, którego ślepe powstanie jest ciekawym okazem podróży błędów, dość często trafiającej się w różnych gałęziach historyografii naszej.

Wartość etnograficzną ma rozdział VIII książki, podający ciekawe legendy krążące w danej miejscowości, opisy gadek ludowych, wierzeń w duchy, uroki i upiory, a nareszcie obfity zbiór pięknych piosenek, przypowieści i anegdotek, spisanych na miejscu. W ostatnich rozdziałach autor opisuje kilka jeszcze miejscowości okolicznych a zamyka swą pracę opowiadaniem wycieczki w Pieniny, obiecując, że na innem miejscu zużytkuje zebrany materyał do opisów Smierdzionki, skał wapiennych w Halogowcach i zamku dunajeckiego. Streszczenie to, chociaż pobieżne, daje pojęcie o wartości i charakterze tej książki, tak bogatej w troskliwie zebrane fakta i szczegóły, nacechowanej od początku do końca znamieniem sumienności i naukowego krytycyzmu. Praca ta dla zwykłego czytelnika sucha, będąca sumą szczegółów, opisanych ściśle i dokładnie, naładowana ogromną erudycyą historyczną, należy do monografij naukowych, odpowiadających pod każdym względem swemu celowi.

J. K.

Przystępny wykład prowadzenia poszukiwań w skałach uwarstwowanych zapomocą szurfowania, p. inżeniera górn. Z. Woysława, Petersburg 1880.

Jednem z najpierwszych źródeł dobrobytu krajowego jest bezwątpienia eksploatacya mineralnych bogactw. Ważna ta

gałąź przemysłu, lubo sięga swoim początkiem dawnych już czasów, rozwijała się jednak u nas dość powolnie i dopiero w ostatnich latach widzimy znaczniejszy w tym względzie postęp. Szkoda tylko, że tu, jak i gdzieindziej, pozwalamy się wyprzedzać cudzoziemcom, co korzystają z naszej niezaradności, wyciągają z ziemi naszej zyski, które z prawa nam by się należały. Niewiele zaś jest odnóg przemysłu, mogących zapewnić takie znakomite korzyści, jak przemysł górniczy, należycie rozwinięty.

Kraj nasz, chociaż niewielki, bogato jednak obdarzony od natury, gdyż począwszy od węgla kamiennego, rud metalicznych, soli i nafty, a kończąc na glinach wapieniach i marglach, mamy wszystkiego pod dostatkiem. Pod względem geologicznym ziemia nasza mało jeszcze jest wprawdzie zbadaną, lecz z drugiej strony nie może to przedstawiać szczególnych przeszkód, gdyż ostatecznie i geologia nie wyłącza żadnych formacyi z możności istnienia w nich ciał mineralnych użytecznych.

Niewielki stosunkowo fundusz, przeznaczony na poszukiwania górnicze, bardzo często może się opłacić znacznie, gdyż jeżeli nie jedno, to inne z mineralnych ciał użytecznych może być znalezione, a w każdym razie posłuży jako cenny materyał dla ogólnego zbadania kraju.

Jednym z powodów, przyczyniających się do pewnej obojętności w tym względzie, jest bez wątpienia zupełny brak chociażby ogólnych wiadomości tyczących się kopalnictwa. Bo chociaż eksploatacya na większą skalę ciał mineralnych potrzebuje dużo nauki, doświadczenia i kapitałów, to znów wstępne poszukiwania górnicze, przy pewnej chęci i inteligencyi, nie wymagają ani szczególnej specyalności, ani też zbyt wielkich nakładów.

Dlatego też z przyjemnością zaznaczamy, że przed kilku miesiącami wyszła z druku praca profesora Instytutu Górniczego p. Zygmunta Woysława pod zaznaczonym wyżej tytułem, która może być w tym względzie, dla wielu, bardzo użyteczną przewodniczką.

P. Woysław, który w ciągu kilku lat prowadził roboty górnicze na Uralu, a następnie na południu Rosyi i za granicą, zebrawszy mnóstwo teoretycznych i praktycznych szczegółów, podzielił się z nami w owej pracy, napisanej z głęboką znajomością przedmiotu i sumiennością.

Książka ta nader przystępna, a jasności jej wykładu dużo pomagają liczne drzeworyty, pomieszczone w tekscie książki.

Na wstępie jej spotykamy ogólne uwagi i objaśnienia, bardzo użyteczne, a zwłaszcza dla tych, którzy nie są obeznani znauką kopalnictwa. Sam wykład przedmiotu mieści się w 9 rozdziałach, zawierających sposoby zakładania szurfów, chodników, ich umocowania, osuszenia, oświetlenia, wentylacyi, określenia położenia warstw, i t. d. Ze szczególną także starannością opracowana jest część ekonomiczna, ze wskazaniem sposobów prowadzenia dzienników rozkładu robót, płac, ilości robót i materyałów, stosownie do wielkości prowadzonych poszukiwań.

W końcu dodany jest ogólny plan warstw ziemi, który wybornie może służyć dla oryentowania się przy układaniu takiejże mapy każdej miejscowości, w której się prowadzą poszukiwania górnicze.

Wogólności praca ta jest cennym nabytkiem w naszej literaturze krajowej i jako taką polecamy ją głównie naszym właścicielom niezbadanych jeszcze a bogatych obszarów ziemi i wogóle tym, dla których sprawa rozwinięcia przemysłu krajowego nie jest obcą.

Książka p. Woysława ukazała się już w przekładzie rosyjskim, przy czem pozyskała opinię, jako umiejętna i sumienna praca, wielce użyteczna dla przemysłu górniczego.

Mitte, inż. górn.

KORESPONDENCYA PRAWDY.

Kraków 15 maja.

Żałowałem mocno, że nie mogłem być na publicznem posiedzeniu Akademii Nauk. Zobaczyć tylu nieśmiertelnych i słyszeć z ust ich żywe słowo danem jest tylko raz do roku i to za biletami. Opuścić tę sposobność znaczy pozbawić na rok cały oczy przyjemnego widoku, uszy głębokich myśli i ekstraktu wiedzy. Szczęściem przyjaciel mój, członek komisyi językowej, a jednocześnie historyi sztuki i antropologicznej (u nas tak zawsze bywa), złożył mi sprawozdanie, po którem żal mój zniknął w przepaści zadowolenia.

Szanowny mój przyjaciel unosił się przedewszystkiem nad akademicką zaiste łącznością myśli pp. zastępcy protektora (hr. Potockiego), prezesa i generalnego sekretarza. To, co raczył powiedzieć p. zastępca o zeszłorocznym jubileuszu Długosza, powtórzył dosłownie prawie p. prezes, a po raz trzeci wypowiedział p. sekretarz. Głębokie zadowolenie p. Potockiego z pobytu monarchy w Akademii udzieliło się z kolei p. prezesowi i p. sekretarzowi. P. Potocki wyraził wreszcie niezmierną swoją radość z zamiaru arcyksięcia Rudolfa wstąpienia w związki małżeńskie; fakt ten ucieszył również p. prezesa i wprowadził w stan rozczulenia p. sekretarza. Te trzy naukowe fakty czy zdobycze: jubileusz Długosza, pobyt monarchy i zaślubiny jego syna—stały się niewyczerpanem źródłem frazesów i zajęły trzecią część posiedzenia.

Drugą część stanowiło odczytanie sprawozdania z działalności Akademii w roku ubiegłym. P. Szujski zastrzegł się przeciw posądzeniu tej instytucyi o sprzyjanie teoryom wywrotu, które to zastrzeżenie zwykł powtarzać corocznie, lubo nie było dotąd przykładu, aby kto ustnie lub pismem posądził Akademię o umizgi do socyalistów i komunistów albo też o stosunki z nihilistami. Potem nastąpiło wyliczenie zmarłych w roku zeszłym członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, z którego mój przyjaciel dowiedział się, że nauka polska największą stratę poniosła przez śmierć ś. p. Rydzowskiego. Kiedy bowiem wspomnieniu ks. Malinowskiego i A. Tyszyńskiego poświęcił sprawozdawca cztery wiersze, a resztę zmarłych pomieścił w dziesięciu, to na udział ś. p. Rydzowskiego przypadło wierszy kilkadziesiąt. Rydzowskiego dotąd żałowaliśmy jako zacnego człowieka i gorliwego rzecznika w sejmie i Radzie Państwa— teraz dopiero się dowiedzieliśmy, że był potęgą naukową, bodaj czy nie największą, kiedy zasłużeni badacze, jak Niewęgłowski, Malinowski, Tyszyński, zniknęli przy nim w sprawozdaniu Akademii. Przyjaciel mój cieszył się z tego, bo Rydzowski to „nasz, krakowianin" i chwalił p. Szujskiego, że przyjaciołom swoim i ludziom własnego stronnictwa gotów stawiać pomniki na każdem miejscu.

Właściwe szczegółowe sprawozdanie drukowane jest w dziennikach, stąd streszczenie jego byłoby zbytecznem. Spodziewając się jednak, że odczyt p. Majera „O ludziach stóletnich" dla dobra nauki drukowanym nie będzie, przytaczam o nim zdanie mojego przyjaciela— reportera. Odczyt ten— według niego— był nadzwyczaj wesołym i dla każdego zrozumiałym. Balastu naukowego nie było w nim wcale, tylko cytaty nazwisk ludzi długo żyjących, zaczęwszy od Matuzala, przeplatane paru wesołemi anegdotkami. Wynik rozprawy zamykał się w tem, że ponieważ są ludzie żyjący do lat 160-ciu, przeto okazuje się, że człowiek tak długo żyć może i gdybyśmy wcześniej nie umierali, to do tych lat z pewnością byśmy dożyli. W końcu rzucił p. Majer kilka zbawiennych przestróg dla młodzieży, aby dobrze się prowadziła, za dużo nie jadła i nie piła, miłości w miarę używała, strzegła się wzruszeń radości lub gniewu — a przyszłość przed nią będzie bardzo długa. Słowem całość miła a nadewszystko moralna.

Odczytaniem nazwisk kandydatów na członków Akademii zakończyło się to zajmujące posiedzenie.

Przystępuję z kolei do sprawozdania z życia literackiego i artystycznego Krakowa. Główny to obowiązek, ciążący na mnie, a najtrudniejszy do wykonania.

Wystawa obrazów pusta—na ścianach spotykasz tylko starych znajomych. Do pracowni teraz przystęp trudny, bo artyści na gwałt malują obrazy z powodu bliskiego zakupu przez Towarzystwo. Za miesiąc więc wystawa będzie ożywioną, zwłaszcza że w tymże czasie ma przybyć do niej *Hold pruski* Matejki, będący już na ukończeniu. Wtedy się dopiero otworzy pole dla sprawozdawcy.

Aby zebrać wiązankę wiadomości literackich napróżno chodziłem po księgarniach. Dowiedziałem się tylko w drukarni Anczyca, że wyjdzie z pod prasy druga część dzieła *Krzyżem a mieczem* przez Piotra Leliwę (pana M. J.), którego część pierwsza dostatecznie przekonała, że autor jest mocno cierpiącym, *scilicet* zdrowym krakowianinem.

Plakaty na kościele Panny Maryi zawiadomiły mnie o wyjściu dwóch dziel: *Trzy godziny konania* i *Kwadrans adoracyi*. To ostatnie dzieło jest pióra p. Morawskiego, żuawa papieskiego.

Zrozpaczony brakiem treści do korespondencyi, pochwyciłem ze skwapliwością zeszyt zatytułowany: *Kraków — Zagrzebiowi*......

Wydawnictwo to Koła literackiego na dochód dotkniętych trzęsieniem ziemi chorwatów ukazało się nareszcie ku radości uwieczniony ch w niem wielkich mężów literatury i nauki krakowskiej. Nie w chęci szkodzenia wydawnictwu, bo to zasługuje na gorące poparcie, ale dla prostej ciekawości radbym wiedzieć, co społeczeństwu naszemu przyjdzie z autografów panów Przybylskiego, Tomkiewicza i t. d.? Zapytanie to stosuje się wogóle do wszystkich podobnych wydawnictw, chorujących na przeładowanie nędznymi utworami niemowląt literackich. Wprawdzie i gwardya literacka nieszczególnie w tych popisach się przedstawia, ale odpowiada przynajmniej sama za siebie. Za to, co napisał p. Szujski, odpowiada p. Szujski, ale za to, co napisał p. Tomkiewicz lub Gorzkowski, odpowiedzialną jest redakcya książki...

Wracając do wydawnictwa *Kraków-Zagrzebiowi* przyznać mu trzeba palmę pierwszeństwa pod względem artystycznym. Ani *Paris-Murcie*, ani *Vindobona*, ani wasze *Ziarno*, a nawet *Narod sobe* nie mogą się z niem równać. Jeden Stańczyk Matejki stanie za wszystkie rysunki *Ziarna*, choć mu to i owo zarzucają. Głowa wieśniaka Benedyktowicza mogłaby ozdobić każde album piórkowych rysunków. Znawcy unoszą się nad parą krakowską Pruszkowskiego, lubo trudno ustrzedz się od zrobienia artyście zarzutu, że zbyt lekceważy szerszą publiczność. Jest to brawura ołówka, być może genialna, jak chcą znawcy, ale dla większości niezrumiała i bezmyślna. Wogóle młodzi artyści nasi, czy to dając swoje utwory na cel dobroczynny, czy też szkice i rysunki do podobnych wydawnictw, każą się byle czem zadawalać, mówiąc, że artysta pozna się na wartości. Gbybyż to każdy mógł być artystą! Tem większa zasługa pp. Loefflera, Stasiaka (?), Pociechy, Lipińskiego, A. M. Mroczkowskiego(?), Kossaka, Ajdukiewicza, że rysunki swoje wykończyli starannie. Szcze-

gólniej żołnierz p. Loefflera i głowa polityka p. Stasiaka uderzają znakomitą techniką. Kossak Juliusz dał winiętę do wiersza Asnyka, pełną wdzięku i świeżości. Do p. Malczewskiego da się to samo zastosować, co do p. Pruszkowskiego; zwłaszcza drugi jego rysunek, scena z Anhellego, jest poprostu niemożebną. A dodajmy, że co wolno wreszcie potężnemu talentowi Pruszkowskiego, to nie uchodzi zupełnie p. Malczewskiemu, lubo i jego zdolności wysoko cenimy. Bardzo efektowna postać egipcyanki wyszła z pod ołówka p. Żmurki, chociaż i tu dużo buffonady. Pan Koniuszko bardzo zgrabnie naszkicował głowę żyda, a p. Buchbinder żydówki. Starzec p. Herncisza jest dobrą zapowiedzią...

W każdym razie pod względem artystycznym album stoi bardzo wysoko. Te kilka słów nagany, jakiej udzieliliśmy, nie znaczy bynajmniej, abyśmy jakiemukolwiekbądź podobnemu wydawnictwu przyznawali pierwszeństwo. Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że tak znakomita kolonia artystów polskich, jaka przebywa w Krakowie, mogłaby jeszcze świetniej zabłysnąć.

Za to dział literacki w *Atenach polskich* prawie wcale się nie udał. Ładny wiersz Asnyka: „Posłanie“ jest zaszczytnym wyjątkiem. Do wyjątków również policzyć należy wiersz: „Do młodzieży“ Anczyca, „Jesień“ Grudzińskiego i ośmiowiersz Szymanowskiego. Pan Czesław śpiewa coś o szacunku dla róży, p. Tomkiewicz sam nie wie o czem, p. Bartels dowcipnie zaczyna a słabo kończy swą tyradę zwróconą do redakcyi *Ziarna*, p. Hugo Zathey kwili słabiuchno o lirniku, — oto i cała poezya albumu. Przepraszam, jest jeszcze całkiem dobre naśladowanie Beranger'a przez p. Kozłowskiego.

W prozie pierwszeństwo przyznać należy pp. Pawlikowskiemu i Estreicherowi. Pierwszy w kilkunastu wierszach zamknął gryzącą satyrę na polityczne stronnictwa. Przypuszczając, że ludzie rodziliby się z bielmem na oczach, przewiduje następujące opinie stronnictw: *jedno* byłoby za niezdejmowaniem bielma wszystkim niemowlętom, gdyż wzrok to rzecz niebezpieczna, zwłaszcza w rodzinach, niedających dostatecznych rękojmi, że wzroku na złe nie użyją; *drugie*, stronnictwo umiarkowanych byłoby za zdjęciem bielma z jednego oka; *trzecie*, radykalistów domagałoby się wstawienia trzeciej sztucznej źrenicy, — prawdziwi postępowcy zostaliby w mniejszości. „Jaka to łaska niebios — dodaje Pawlikowski — że dzieci nie rodzą się u nas z bielmem na oczach.“

Pan Estreicher bardzo pięknie mówi o oświacie. Pyta, co użyteczniejsze: czy *narzucanie* oświaty nieoświeconym, czy też jaśnie oświeconym? Rozumnie przemawia o potrzebie nauki u szlachty, bo kto odziedzicza imię, majątek i znaczenie, dla tego oświata jest koniecznością. Wszystko to prawda, ale czyż ona nie jest koniecznością i to bodaj czy nie większą dla tego, co nic nie ma, dla którego być może jedynym skarbem? W słowach autora dostrzegliśmy echo smutnych rozpraw o oświacie ludu na ostatniej sesyi sejmowej. Zgrabnie tu ukryta myśl: dla nas jest nauka, lud może na nią poczekać. „Przez góry droga do oświecenia dolin“ woła Estreicher, ale też i to prawda, że szczupłe oświecenie dolin górom zawdzięczać należy.

J. I. Kraszewski zajął całą stronę swojem „intermedium do starej komedyi.“ Ustęp ten, polegający na dowcipnej grze słów i myśli, jest niemałą ozdobą wydawnictwa. Oprócz niego dał jubilat słaby rysunek i średniej wartości aforyzm w czterowiersz ujęty.

Do niezłych rzeczy należą aforyzmy wierszem i prozą: Deotymy, Bylickiego, Koźmiana, K. Brzozowskiego, Krzymuskiego, Kirkora, Bartoszewicza, Przeździeckiego i jeszcze parę innych. Nawet hrabia Dębicki kilka niezłych aforyzmów wysnuł z „doświadczeń dziennikarskich.“

Co jednak komitet zmusiło do umieszczenia artykułu p. Gorzkowskiego, który „jako sekretarz szkoły sztuk pięknych myśli, iż piękno jest celem życia ludzkiego“ i spodziewa się zczasem takiej liczby artystów „na całym globusie(?)“ że obawia się, czy jego następca „będzie w stanie“ ich zrachować? Co dalej zmusiło komitet do umieszczenia nieortograficznego płodu mowy p. Tomkiewicza? Dla czego znowu p. Szujski zdobył się na ekstrakt ciężkiego stylu i metody? dla czego pan Zacharyasiewicz najniezgrabiej powiązał konsumentów papieru z Napoleonem? dla czego hrabia Tarnowski nic nie dał do albumu? a kandydaci na hrabiów pp. Bobrzyński, Sokołowski i t. d. poszli za jego przykładem? — o to już nie redakcyę, ale ich samych spytaćby należało.

Co znaczy i skąd się wziął p. Tissot, dla czego pan Fredro, syn Fredry juniora, przepisał wierszyk z albumu, po co pan prezes Majer zawsze i wszędzie cytuje tylko Schillera; skąd weszli pomiędzy literatów pp. Ryk i Lanckoroński, czego chce pan Kopernicki a o co idzie p. Sadowskimu — oto reszta pytań do wydawców i autorów zwrócona.

Odrzucając jednak na bok te wszystkie niedostatki, które wreszcie są nieodłączne od wszelkich podobnego rodzaju wydawnictw, przyznać należy, że *Kraków-Zagrzebiowi* jest bardzo miłą wiosenną nowalijką, tem milszą, że wychodzi jakby przednia straż, jako zapowiedź pożądanej zmiany w tutejszych literackich i artystycznych stosunkach. Album to jest dowodem życia, które gwałtownie dotychczas przyduszano, pierwszym krokiem na drodze łączności ludzi pokrewnych zajęć, wreszcie pierwszym objawem działalności Koła artystyczno-literackiego, które, przy dobrych chęciach i jakiej takiej żywotności, mogłoby się stać w Krakowie pionierem zdrowego rozumu i europejskich stosunków towarzyskich.

J. G.

BOEROWIE I TRANSVAAL.

II.

Antoni Trollop, który w czasie podróży swej po Afryce południowej widział Burgersa w stolicy Przylądka, kreśli następującą sylwetkę tego męża stanu. Jestto człowiek w sile wieku jeszcze, gorący jego patryotyzm zasługuje na prawdziwe uznanie. Świetna wymowa i zapał, jakim był przejęty, zjednały mu niebawem licznych zwolenników w Transvaalu, gdyż dawał wszelkie nadzieje, iż zdoła ukończyć pomyślnie dzieło, rozpoczęte przez poprzedników swych na wysokiem stanowisku, na jakie powołanym został. Głównem zadaniem miało być dlań odtąd utrwalenie młodej rzeczypospolitej. Kraj był nawczas biednym. W skarbie były pustki. Nowy prezydent zdołał jednak w krótkim czasie podnieść stan ekonomiczny kraju, polepszyć stan finansów państwa.

Osiągnięcie jednak zamierzonego celu było niełatwem. Dbały o dobro kraju prezydent dał narodowi własną chorągiew i kilkaset sztuk monety złotej, wybitej w Transvaalu, ozdobionej swym portretem. Opracował dalej wyborny plan systematu wychowawczego, który miał tę jedynie wadę, że z trudnością można było wprowadzić go w wykonanie. Myślał także o wydaniu kodeksu praw, ale brak było sędziów, którzyby na tej podstawie rostrzygali spory zwaśnionych. Wreszcie gorliwy prezydent wygotował projekt linii drogi żelaznej, za pomocą której zamierzał połączyć Pretoryę z zatoką Delagoa.

Celem urzeczywistnienia licznych tych planów Burgers rozpoczął starania o pożyczkę państwową; niebawem też udało mu się obciążyć budżet rzeczypospolitej 100.000 funtami szt. długu.

Wprowadzić w wykonanie świetne plany prezydenta było jednak niezbyt łatwo. Zresztą do planów tych i zamiarów zastosować było można sarkastyczne porównanie Goldsmitha. Burgers „dawał mankiety człowiekowi, który nie miał koszuli.“ A człowiekiem takim, była w istocie rzeczpospolita Transvaalu. Nie miała podatków, urządzeń administracyjnych, a gorliwy prezydent dawał krajowi... własny sztandar i monetę złotą ze swym popiersiem.

Dlatego też rząd angielski niezbyt wielką zwracał uwagę na plany Burgersa. Rząd ten jednak nie mógł spoglądać obojętnie na ciągłe zatargi i krwawe zajścia holendrów z krajowcami. Naród angielski oburzał się na te nadużycia, które wynikały jednak z samej natury rzeczy. Europejczycy, jako silniejsi, ujarzmiali wszystkie sąsiednie plemiona krajowców i zabierali im ziemię.

Nie było bowiem innego sposobu rozszerzania granic początkowo zajętego terytoryum: nie można było kupić ziemi, której sprzedać nie chciano, którą wreszcie i ocenić było trudno. W razie jednak, gdy do tego nadawała się sposobność, holendrzy korzystali i z tego sposobu rozszerzenia swego gruntu. Tak pewien król zulusów ujarzmił część krajowców, osiadłych w sąsiedztwie Transvaalu i ziemię ich sprzedał holendrom. Ujarzmieni, korzystając z tolerancyi nowych właścicieli, nie opuścili swych siedzib. Kiedy jednak po upływie pewnego czasu holendrzy zażądali od nich wydania zakupionej ziemi, krajowcy postanowili się oprzeć. Na czele ich stanął wódz energiczny i śmiały i wypowiedział holendrom walkę na życie i śmierć. Ci ostatni, niezbyt stosowali się do przepisów obowiązujących w działaniach wojennych, narody cywilizowane, z więźniami obchodzili się surowo, zwyciężonym zadawali męczarnie i t. p.

Okoliczność ta zwróciła na się uwagę rządu angielskiego i lord Carnarvon wysłał w d. 27 stycznia 1877 r. pismo do gubernatora kolonii na Przylądku, w którym polecał mu wyrazić prezydentowi Transvaalu oburzenie rządu angielskiego z powodu nadużyć, jakich się dopuszcza armia rzeczypospolitej, a jednocześnie oświadczył, że z tego powodu wszelkie stosunki przyjazne Anglii z wspomnianą rzecząpospolitą muszą być zerwane.

Cios ten nieprzewidziany przyczynił się nie mało do zaburzenia porządku społecznego w państwie, w którem prezydent z powodu ostatnich swych czynów zachwiał się na swem stanowisku, w którem skarb świecił pustkami, dochody nie mogły pokryć nadzwyczajnych wydatków. Niebawem też wynikł bezrząd, którego rząd angielski tolerować nie mógł w sąsiedniem państwie i ujrzał się zmuszonym do czynnej interwencyi. Wynikiem tego było wysłanie komisarza angielskiego, sira Teofila Shepstone, z niewielkim oddziałem konnicy, do stolicy rzeczypospolitej Pretoryi.

Tak się odbył pierwszy akt zajęcia Transvaalu przez Anglię.

Komisarz, wysłany przez rząd angielski do Transvaalu, nie miał właściwie wyraźnego polecenia przyłączyć to terytoryum do kolonii angielskiej w Afryce. Dlatego też przyłączenie owo odbyło się samo w sposób dość oryginalny. Anglia uważała ustrój państwowy Transvaalu za wadliwy i dlatego postanowiła go zagarnąć.

Krok podobny, według mniemania Trollope'a, dałby się usprawiedliwić wówczas jedynie, gdyby większość mieszkańców zajętego kraju wyraziła życzenie przejścia pod protektorat i zwierzchnictwo bezpośrednie rządu angielskiego. W rzeczywi-

stości jednak rzecz miała się inaczej. Wola narodu wyrażoną być mogła jedynie przez usta parlamentu, a „Volkraad“ Transvaalu był w zasadzie przeciwnym tej unii.

Trollope zarzucając rodakom, iż postąpili zbyt brutalnie, przytacza zarazem niektóre okoliczności łagodzące, oraz względy, mogące usprawiedliwić, w pewnym stopniu, niezbyt polityczny krok Anglii.

W rzeczypospolitej Transvaalu kwitnęło niewolnictwo, prześladowane przez rząd angielski; krajowcy buntowali się przeciwko boerom; naczelnik rzeczypospolitej pozbawionym był władzy, Volkraad nieoświeconym i upartym. Nie było żadnych dochodów, żadnego porządku i karności. Holendrzy wreszcie nie umieli się już bić. Cóż było robić z sąsiadami, którzy nie mogli dać sobie rady nawet z słabszymi od siebie krajowcami?

Kolonia angielska miała w najbliższem swem sąsiedztwie palący się dom, którego płomienie i ją samą ogarnąć mogły z łatwością. Wypadało ogień zagasić i Anglia ugasiła go w samej rzeczy, włączając do swego terytoryum chylącą się do upadku rzeczpospolitę.

Nie zastanawiając się dłużej nad tem, czy względy przytoczone przez Trollope'a mogą usprawiedliwić zabór Transvaalu, zwrócimy jedynie uwagę na sposób, w jaki zajęcie niepodległej rzeczypospolitej zostało dokonanem.

Komisarz angielski, Teofil Shepstone, nie miał wyraźnego upoważnienia od swego rządu do zajęcia Transvaalu przemocą. Instrukcya, jaką otrzymał, zredagowaną była nader zręcznie i oględnie. Między innemi zawierała ona polecenie okupacyi pewnej części państwa, jednak w tym tylko razie, gdyby okoliczności wykazały niezbędną tego potrzebę; i wówczas zajęte terytoryum nie miało być stanowczo przyłączonem do posiadłości angielskich, ale tymczasowo przejść pod zarząd gubernatora Przylądka. W instrukcyi zastrzeżono wyraźnie, że zajęcie dokonanem ma być wówczas jedynie, jeżeli będzie z wolą narodu, oraz że komisarz angielski nie ma prawa wydawać proklamacyi bez uprzedniego zniesienia się z gubernatorem sąsiedniej kolonii.

Pomimo jednak tych zastrzeżeń, a nawet wbrew im, Shepstone, po dziesięciotygodniowym pobycie w Pretoryi, w ciągu którego traktował z przedstawicielami rzeczypospolitej, nie porozumiawszy się poprzednio z gubernatorem Przylądka, wydał w dniu 12 kwietnia 1877 r. proklamacyę, w której oznajmił wszystkim mieszkańcom Transvaalu, iż państwo, znane pod nazwą rzeczypospolitej południowej Afryki, zostaje przyłączonem do posiadłości angielskich i przechodzi pod bezpośrednie zwierzchnictwo Anglii.

Chociaż zabór Transvaalu zdawał się być czynem samowolnym Shepstona, jako fakt spełniony przyjęty był nader przychylnie przez rząd angielski i cały parlament, nie wyłączając opozycyi. Niezadowolonym z niej był jedynie dawny prezydent rzeczypospolitej M. Burgers. Zarzucał on rządowi angielskiemu, iż sam umyślnie podburzał krajowców, ażeby wywołać zawikłania, które doprowadziły rzeczpospolitę do upadku; iż zajęto kraj wbrew woli narodu, który do rządu angielskiego żadnej o to nie podawał prośby; że zabór był czynem w najwyższym stopniu niesprawiedliwym. Mimo to wszystko i on przyznać musiał, iż jedynie pod zwierzchnictwem Anglii rzeczpospolita powstać mogła z upadku i nadal rozwijać się pomyślnie.

Wypada zastanowić się teraz, jakie skutki pociągnęło za sobą przyłączenie Transvaalu do posiadłości angielskich.

Przedewszystkiem, skorzystał żywioł najbardziej w sprawie tej interesowany, boerzy. Boer jest właścicielem ziemi. Ziemia ta przedtem nie przedstawiała żadnej wartości, dzisiaj ją posiada; boerzy otrzymali możność sprzedawania swych posiadłości, czego przedtem uczynić nie byli w stanie. W kraju zaprowadzoną została pewna prawidłowa administracya, czego poprzednio nie było. Dlaczegoż bowiem boer miał dawniej płacić podatki skoro, ich nikt nie płacił, skoro za to nic nie otrzymywał od rządu? Dzisiaj płaci je chętnie, bo za nie nabywa pewne prawa. Rząd broni go przed napadami i łupiestwem dzikich krajowców, którym sam z trudnością oprzeć się był wstanie; organizuje rynki, na których sprzedawać może wełnę ze swych owiec, zboże z pól swoich; otrzymał dzisiaj kredyt, którego mu zapewnić nie mogły ani chorągiew narodowa, ani moneta złota z popiersiem prezydenta, ani wreszcie projektowany kodeks praw lub linia drogi żelaznej.

Najmniej na okupacyi Transvaalu skorzystali bez zaprzeczenia anglicy. Dochody z kraju są nader małe, oprócz zaś innych wydatków, budżet angielski obciążony został nader znacznym nowym z powodu tego, iż rząd zmuszony jest wysyłać do zajętego kraju znaczny kontyngens wojska.

Zawikłania, które wynikły w ostatnich czasach, zatargi z boerami, które do starć zbrojnych doprowadziły, przekonać mogą każdego, iż Anglia raczej narażoną została na znaczne straty, aniżeli cokolwiekbądź na tem zyskała. Bądźmy wszakże o nią spokojni, powetuje sobie...

J. W.

LIBERUM VETO.

Trafna uwaga nowego ministra. — Cyrkulacya naszej krwi. — Wędrówka projektu kasy przezorności dla robotników. — Podwyższenie etatu szkół elementarnych. — Nasze pytanie. — Kursa dla subjektów handlowych. — Dopuszczenie kobiet do aptekarstwa. — Emancypacya wieśniaczek. — Ochrony dla dzieci wiejskich.— Bajka zarządu pocztowego.— Epoka cudów.

Nowy minister spraw wewnętrznych wydał okólnik, w którym szczególnie podobała mi się ta uwaga, że przyczyny złego „tkwią w niedbałem wykonywaniu obowiązków przez administracyjnych i społecznych działaczów i w żądnem zysków ich zachowaniu się względem społecznego i państwowego dobra.“ Uwagę tę i ja często zapisywałem sobie w duszy, nigdy ona mi jednak nie sprawiła takiego zadowolenia, jakiego doznałem, ujrzawszy ją w akcie urzędowym. Błysnęły mi z niej bowiem promienie nadziei zmartwychwstania i kasy imienia Mianowskiego, i towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia, i wielu innych żywcem pogrzebanych ustaw, projektów, słowem.... niebieskich migdałów. Naprzód jednak zyska może na tem ustawa kasy przezorności dla robotników, która podobno odesłana została swym twórcom dla wprowadzenia do niej pewnych poprawek. Cyrkulacya naszej zużytej krwi, płynącej leniwie żyłami formalistyki do serca państwowego i niewracającej lub wracającej znowu do naszego organu w stanie nieodrodzonym, trwa tak długo i ponawia się tyle razy, że go należycie odżywiać nie może. Projekt kasy przezorności powędrował do Petersburga zapewnie przed rokiem, obecnie przybywa do Warszawy, z której poprawiony uda się do Petersburga po półroku, stamtąd znowu nas odwiedzi za rok i tak dalej, dopóki jego twórcom nie sprzykrzy się ta kołowa podróż. A tymczasem robotnicy potrzebują kasy przezorności. Źródło zła odkrywa się jasno....

Rada Państwa postanowiła podwyższyć etat na utrzymanie i urządzenie szkół elementarnych. Jakkolwiek pyszny ten granat prasa nasza zerwała z *Nowosti*, z drzewa, rodzącego niezmordowanie codzień świeże owoce najrozmaitszych „reform,“ „zmian“ i „nowych praw,“ które nazajutrz rzeczywistość nielitościwie z jego gałęzi strąca, radbym wierzyć, że tym razem będzie miłosierniejszą. Jak tylko państwo uczuje potrzebę zmniejszenia armii, zawsze czuje jednocześnie skłonność do powiększenia szkół. Ową zaś wiadomość nazywam granatem, dlatego, że w niej, jak w tym owocu, mieści się nieskończona ilość ziaren, nieskończona ilość spraw społecznych, które tylko z nasion szkoły elementarnej rozwinąć się mogą. Wystaw sobie czytelniku, że jednego dnia czytamy:

„Dzieci wszystkich mieszkańców państwa obowiązane są przed 12 rokiem życia przejść naukę elementarną.“

„Na utrzymanie szkół początkowych asygnuje się 200 milionów rs. rocznie.“

Wystawcie sobie, mówię, taki ostry miecz: ile by on odrazu rozciął „kwestyj!“ I zbliżenie żydów z chrześcianami, i udział włościan w zarządzie gminnym i tysiąc innych węzłów gordyjskich nie dręczyłoby daremnie usiłującego je rozplątać ogółu. Uchwała Rady Państwa tak daleko nie idzie: ani nie ogłasza przymusowego ukształcenia, ani nie zakłada potrzebnej ilości szkół. W każdym razie robiąc krok na tej drodze, zapewnia przynajmniej korzyść częściową. Zbyt ubogiem zaś jest szkolnictwo w Rosyi, ażeby mu nawet najdrobniejsza łaska się nie przydała. Jaka zaś część na nas przypadnie? pytają niezliczone wsie i miasteczka, które szkół wcale nie mają, lub których nauczyciele pomarliby z głodu, gdyby im wdzięczna wieśniaczka nie przyniosła czasem mendla jajek lub garnuszka masła. Mimo całej lojalności, pytanie to w powyższej sprawie jest dla nas najważniejszem.

Gdy nie ma belek, zbierajmy dla zbudowania swej pomyślności drobne wióry. Przy szkole żydowskiej, zostającej pod kierownictwem p. Dicksteina, mają być urządzone kursa wieczorne dla subjektów handlowych.. wyznania mojżeszowego. Do połączenia się z nimi kilka głosów wzywa także sferę chrześciańską. Nie lubimy dmuchać w żagiel, w który żaden wiatr nie wieje, i dla tego nie dajemy w nowym przybytku nauki uroczyście ślubu dwu żywiołom, z których jeden, jak to przy innej sposobności oświadczył, nie ma dobrej i nieprzymuszonej woli. Poprzestajemy więc tylko na udzieleniu błogosławieństwa jednej stronie: oby z zapowiedzianych kursów jak najliczniej korzystała.

Oby również jak najliczniej skorzystały kobiety z rozporządzenia departamentu lekarskiego, dozwalającego im kształcić się w zawodzie aptekarskim. Ktoryś z pisarzów francuskich zauważył, że wstyd mężczyznom trudnić się wyrabianiem gorsetów. Wprawdzie mikstury i pigułki nie są wyłącznie przeznaczone dla jednej płci, w każdym jednak razie możnaby je powierzyć rękom delikatniejszym, zwłaszcza iż one nie wymagają tych wielkich uzdolnień, któremi „pan świata“ słusznie czy nie słusznie się chlubi. Nie mówię o „prawie“ kobiet do aptekarstwa, bo monopol prawa do jakiejkolwiek nauki może zasługiwać jedynie na wesołą oprawę w muzyce ofenbachowskiej operetki, ale o właściwości zajęć. Sądzę, że po pewnym namyśle nawet p. Nowosielski nie zaprzeczyłby, iż praca aptekarska jest dla kobiet odpowiednią.... chciałem powiedzieć — przywoitą. Przygotowywanie lekarstw rączek nie pobrudzi, tak strzeżonej barwy z umysłu ich nie zetrze, z rodziny na bezdroża nie wytrąci, a więc.... idzie tylko o to, co zrobić z rzeszą pięknych, wymuskanych, pachnącym młodzieńców, którzy z takim wdziękiem nakrapiają chustki damom, wstępującym do apteki „dla orzeźwienia się.“ Wyjście bardzo proste. Naprzód co do grzecznych młodzieńców, przenieśliby oni swo-

je talenta na inne pola, na których nas zbyt długo wyręczają żywioły obce; co zaś do orzeźwianych dam, te poszukałyby również innych sposobności wzmocnienia słabych nerwów. Zresztą, nie widzę żadnej przeszkody ku temu, ażeby w oficynach zdrowia mężczyźni pracowali razem z kobietami, o ile uczują szczególne do tego zawodu powołanie. Nasze pole ekonomiczne przedstawia widok rozmaitych dziedzin, z których jedne otwarte dla wszystkich, ale trudniejsze, nie posiadają dostatecznych sił, drugie zaś dla kobiet zamknięte, a łatwiejsze, są zatłoczone. Do tych ostatnich należy właśnie aptekarstwo. Niech do niego wejdą te słabe, z wielu praw wydziedziczone istoty, którym często jako jedyny środek ratunku pozostaje podczernianie oczu i różowanie ust.

Szczęśliwe wieśniaczki! one już dawno wyemancypowane: wolno im na równi z mężczyznami żąć, kopać, drwa nosić, nawet chodzić w butach i doprzęgać się do krowy przy oraniu ziemi. Niestety, emancypacya ich posunęła się tak daleko, że w czasie roboczym nie mogą pilnować własnych dzieci i muszą je pozostawiać pod opieką wiernego Burka. Dla pomożenia im generał-gubernator warszawski wydał rozporządzenie, zalecające gromadom włościańskim w Królestwie zakładać po wsiach ochrony dla dzieci. Myśl tę energicznie szczepić i rozkrzewiać należy, ażeby każda zła świnia nie miała możności odgryźć nogi lub ręki porzuconemu przy chacie niemowlęciu, którego matka pracuje w polu. Nie należy się tem zrażać, że gromada usłyszawszy propozycyę założenia ochrony, zaszemrze i rozejdzie się niezadowolona. Chłop nasz pozostaje ciemnym nie dla tego, że na wszelkie projekta splunąwszy ręką macha, ale dla tego, że my oświeceni na jego dziecięcą niewiadomość także splunąwszy, ręką machamy.

Zarząd pocztowy opowiedział nam bardzo piękną bajkę, mianowicie doniósł: o jakich godzinach i minutach wysyłane są wszystkie korespondencye i posyłki z Warszawy. Co to za roskosz pomyśleć, że list wrzucony do skrzynki na trzy kwadranse przed odejściem poczty będzie wekspedyowany! Czemuż to błogie marzenie rozpraszają nam ciągle nielitościwi abonenci, którzy np. skarżą się, że *Prawdę* wysyłaną w poniedziałek otrzymują aż na trzeci lub czwarty dzień w.... Sosnowcu. Nie mamy powodu nie wierzyć poczcie miejscowej, może więc prowincyonalne wytłomaczą nam: czemu pismo dla przebycia drogi z Warszawy do Sosnowca potrzebuje aż trzech dni? A o jakich cudach donoszą prenumeratorzy dalej mieszkający!

No, bo też i żyjemy w epoce cudów. Pomijając te, o który „mędrzec mówi przyjaciołom domu" lub nawet „nie mówi nikomu," dość zaznaczyć tegoroczny rozbrat teatrzyków ogrodowych z Warszawą. Dotąd tylko w Belle-vue wędrowna Melpomena rozbiła swój namiot, którego przytem stęskniony igrzysk naród wcale szturmem nie zdobywa.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

„Po licznych ostatniemi czasy zapowiedziach reformy zarządu miast, — piszą do nas z prowincyi — wyczytaliśmy nareszcie „pozytywną" jakoby wiadomość, zaczerpniętą przez gazety nasze z *Warszaw. Dziennika*, że „kwestya, wprowadzenia do miast Królestwa ustawy o samorządzie gmin miejskich jest już *prawie* rozstrzygniętą, *albowiem* pod prezydencyą pana ministra spraw wewnętrznych obraduje specyalna komisya w celu *rozpatrzenia* tej kwestyi." Jeżeli wiecie, jak bardzo oczekujemy tyle pożądanej autonomii zarządu miejskiego, zrozumiecie łatwo, że wiadomość ta ucieszyłaby nas niewypowiedzianie, gdyby nie te małe słówka, któreśmy w powyższej cytacie podkreślili, a które całą „pozytywną" informacyę redukują niemal do zera. Jeśli bowiem dopiero komisya ma *rozpatrzeć* kwestyę, to jeszcze bynajmniej nie wypływa stąd, aby ta kwestya była już choćby tylko „prawie rozstrzygniętą" a tem mniej sama reforma zadecydowaną. Czekaliśmy tak długo, — poczekamy jeszcze; ale wolelibyśmy, aby szanowne organa prasy zachowywać zechciały trochę więcej ścisłości w informowaniu ogółu o jego żywotnych sprawach; takie bowiem „pozytywne" doniesienia mają ten jedyny skutek, że wprowadzają w błąd mniej krytyczne umysły."

Niepodobna odmówić słuszności uwadze naszego korespondenta. Lekkie, reporterskie traktowanie najważniejszych spraw publicznych stało się u nas nałogiem, którymby należało wykorzenić. Już dawniej zwracaliśmy uwagę w innem miejscu naszego pisma na zbytnią pohopność prasy do ogłaszania najrozmaitszych „reform," które się zaczynały i kończyły na zapowiedzi. Choroba ta nie ustała i dziś jeszcze. Gdy odmieniona sytuacya, jakby się zdawało, zamknąć już powinna usta warszawskim heroldom petersburskich wieści, jednoz pism, nie mając nic lepszego, zwiastuje swoim czytelnikom, że „kanalizacya Warszawy rozpocznie się po przybyciu pana Lindleja." Nieprawdaż, jaka świetna „nowina?"

* * *

Jeszcze ze świata — nadziei:

Sprawa utworzenia Towarzystwa Kredytowego dla miast prowincyonalnych oddawna już pokutuje na wędrówce po biurach „odnośnych dekasteryj." Zainteresowany losem projektu obywatel miasta Częstochowy, pan H, zwrócił się z zapytaniem do Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które inicyatywę i kierunek sprawy wzięło w swoje ręce. Otóż Dyrekcya pod datą 25 kwietnia r. b. Nr. 1213 udzieliła interpelantowi następującą odpowiedź:

„Czyniąc zadosyć życzeniu pana, objawionemu w piśmie Jego z d. 27 stycznia r. b. Dyrekcya ma zaszczyt objaśnić, że projekt ustawy stowarzyszenia kredytowego miast w Królestwie Polskiem, przez władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego ułożony, jeszcze na początku roku zeszłego przedstawiony został za pośrednictwem ministra finansów do zatwierdzenia rządu; dalsze losy takowego projektu nie są Dyrekcyi głównej wiadome." Odpowiedź, jak widzimy, jasna i zrozumiała. Przekonywamy się z niej wraz z panem H., że Dyrekcya Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego tyle wie o losach projektu, co i my wszyscy t. j. nie wie nic. Zachodzi wszakże pytanie: Czy rola szanownej Dyrekcyi skończyła się na posłaniu ustawy do zatwierdzenia?

„Pukajcie a będzie wam otworzone." Kto zaś powinien „pukać," niema chyba wątpliwości.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 maja.

Dnia 12 b. m. w Bardo pod Tunisem, rezydencyi beja, podpisany został między Francyą a tymże bejem traktat, który zakończył wyprawę francuską rezultatem dla bezkrwawych zwycięzców bardzo świetnym. Francya zyskuje prawo wojskowego zajęcia pewnych pozycyj nadgranicznych od strony Algieru, jakoteż na wybrzeżach, stosownie do tego, jak ministeryum wojny zadecyduje ze względu na bezpieczeństwo interesów francuskich. Francya gwarantuje bejowi całość i bezpieczeństwo jego państwa, osoby i dynastyi, jak również staje się stroną poręczającą wobec traktatów zawartych już przez beja z innemi państwami europejskiemi. Bej zobowiązuje się na przyszłość nie zawierać żadnych i z nikim traktatów, bez poprzedniego zezwolenia rządu francuskiego. Reprezentacya interesów Tunisu na zewnątrz należeć będzie do dyplomacyi francuskiej, Francya też sama w porozumieniu z bejem ureguluje system finansowy tunetański. Wreszcie zastrzega traktat, iż osobna konwencya określi wysokość sumy i sposób pokrycia kontrybucyi wojennej na kumirów, za którą to kontrybucyę bej poręcza. Francuski konsul, wyniesiony do rangi ministra rezydenta i pełnomocnika I klasy, czuwać będzie nad zachowywaniem umowy w traktacie tym zawartej. Jestto więc formalny protektorat Francyi nad Tunisem, niewiele różniący się od zupełnej aneksyi. Zrozumieć łatwo, że taki koniec wyprawy francuskiej na kumirów nie spodobał się we Włoszech, w Anglii i w Turcyi, uważającej się za zwierzchniczkę Tunisu. Niezadowolenie to objawiło się wszędzie w odmiennej formie. Włochy, za słabe na otwarty protest, któryby je doprowadził do czynnego starcia, uciekły się do poufnej propozycyi zrobionej rządom państw europejskich, aby układ francusko-tunetański podciągnąć pod rozpatrzenie kongresu, czy konferencyi; Turcya grozi, że sułtan zdetronizuje beja, skoro Europa nie uwzględnia protestu Porty przeciw postępowaniu Francyi; Anglia oficyalna cichaczem tylko kramarzy się z rządem paryskim, a tymczasem w prasie i parlamencie podnosi krzyk ogromny, którego praktycznym celem, jak utrzymują kompetentne dzienniki, jest tylko wytargowanie u Francyi korzystnej taryfy celnej. Rządy Austryi i Niemiec stają stanowczo po stronie Francyi, dzięki czemu upadł i włoski projekt konferencyi, którego się dziś wypierają w Rzymie, i protesty tureckie. Jak dotąd też, jedynym skutkiem zatargu polityki włoskiej z francuską jest ostateczny upadek ministerium, Caroilego. Misyę utworzenia nowego ministerium podjął Sella, naczelnik prawicy parlamentarnej. Próba złożenia gabinetu koalicyjnego nie udała mu się, zatem po objęciu rządów, przystąpi niezawodnie do rozwiązania Izby poselskiej. Będzie z tem aż nadto roboty, aby jeszcze można było skutecznie działać na zewnątrz.

W przesileniu bulgarskiem zaszła ważna zmiana okoliczności. Wedle petersburskich telegramów, Rosya postanowiła usilnie popierać księcia Aleksandra w jego dążeniach ograniczenia konstytucyi. Ponieważ początek tej dążności wyjść miał z Berlina i z Wiednia, torując austro-niemieckiej polityce drogę do przeważnego wpływu w Bulgaryi, decyzya zatem gabinetu petersburskiego jest w takim razie zręcznym zwrotem strategicznym, który zapewnia utrzymanie stosunku protekcyjnego do księstwa i zatamowanie, przynajmniej na razie, wdzierającego się prądu wpływów zachodnich.

Francuska Izba deputowanych rozpoczyna dziś rozprawy nad kwestyą reformy ustawy wyborczej t. j. tak zwanego głosowania według list. Szanse projektu Gambetty podobno się poprawiły, pewnym jednak rezultat nie jest.

Ks. Bismarck poniósł dotkliwą klęskę w parlamencie. Odrzucono mu upragniony przezeń projekt zaprowadzenia dwuletnich okresów budżetowych i czteroletnich prawodawczych. Niebywałe rzeczy zaczynają się dziać w najpotulniejszym z parlamentów!

S. S.

Kilka słów z powodu artykułu pana L. Malinowskiego drukowanego w 17 nr. „Prawdy.“

Po przeczytaniu artykułu prof. Malinowskiego, wywołanego moją recenzyą rozprawki prof. Rostafińskiego, umieszczoną w 15 numerze *Prawdy*, przejrzałem raz jeszcze mój referat o „Buraku“ i muszę oświadczyć, że pomimo dowody pana M., zgoła nie mogę cofnąć twierdzeń tam wyrażonych, a to z następnych przyczyn.

Naprzód co do wyrazu *ćwikla*. Że pochodzi on od greków, o tem nie wątpiłem i nie wątpię; ale czyśmy go dostali przez pośrednictwo języka starosłowiańskiego i słowieńskiego, czy też przez łacinę średniowieczną i czechów, nad tem raz jeszcze warto się zastanowić.

Pan M. utrzymuje, że od „starosłowieńskich form, a zwłaszcza od *svekla*, niepodobna oddzielić nowo- (zachodnio-, illirsko-) słowieńskiego *cvekla*. Z tym zaś ostatnim w genetycznym i bezpośrednim związku zostają czeskie i polskie *cvikla, ćwikla*.“ Pan Rostafiński zaś twierdzi (str. 13 broszury), że wyraz *ćwikla* dostał się do polszczyzny przez pośrednictwo łacińskich form *siclon, sicle, sicla;* ja podzielam mniemanie pana R., ściślej je określając domysłem, iż przywędrował on do nas z łaciny przez czechów, bo u nich brzmi *cvikla*.

Co do możebności głosowniowej, nie zapuszczając się w rozprawy, które tu byłyby nie na miejscu, myślę że zarówno ze słowieńskiego *svekla*, jak i ze średniołacińskiego *sicla* mogły się utworzyć nazwy czeska i polska, w obu razach przez upodobnienie do pierwej przyswojonych wyrazów *ćwik, ćwiczyć*. Chodzi więc o rozwiązanie pytania genetycznego: którą drogą *ćwikla* do nas przybyła? która droga więcej wyrazów kulturowych nam dostarczała? Czy grecko-starosłowiańsko-słowieńska, czy też grecko- (persko-, arabsko-) średnio-łacińsko-czeska (niemiecka, włoska, francuzka)? Oczywiście, odpowiednio do tego, jak mówimy o wschodniej i zachodniej Europie, nazwać możemy pierwszą drogę wschodnią, a drugą zachodnią, chociażby nam i wschodnie wyrazy przynosiła. Dodać też muszę, iż i panu R. w rozprawce jego, i mnie w recenzyi, chodziło nie o stan teraźniejszy, ale o przeszłość języka naszego, o tę epokę, kiedy takie wyrazy jak: *burak, barszcz, ćwikla* doń wchodziły.

Otóż zupełnie podzielam tu zdanie pana R., że „stosunki nasze łączyły nas zawsze z zachodem;“ bo jeżeli ze wschodu (od rusinów, tatarów, węgrów, turków) otrzymywaliśmy wyrazy *dziesiątkami*, to z zachodu *secinami*, nawet *tysiącami* (od niemców, czechów, włochów, z łaciny i t. d., oraz przez ich pośrednictwo z innych języków). Śmiało twierdzić można, iż wyrazy cywilizacyjne i kulturowe, a z niemi pojęcia i przedmioty im odpowiadające, dostawaliśmy przeważnie, prawie wyłącznie, z zachodu lub przez zachód.

Ze greckich bezpośrednio nie otrzymywaliśmy nigdy, tego zdaje się dowodzić nie trzeba. A czy dostawaliśmy bezpośrednio starosłowiańskie? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzebaby wprzód rozwiązać kwestye: czy, gdzie i kiedy istniał naród, który mówił językiem starosłowiańskim; a że kwestye te należą dotychczas do nierozstrzygniętych, więc o bezpośrednim wpływie żywego języka starosłowiańskiego na nasz mowy być tymczasem nie może. Pozostaje więc wpływ piśmiennictwa starosłowiańskiego. Czy otrzymywaliśmy go kiedy bezpośrednio? Podobno nigdy. Pośrednio, przez rusinów, z ich ksiąg kościelnych, przyjęliśmy do mowy naszej piśmiennej garstkę wyrazów starosłowiańskich i to takich, któreby można nazwać *charakterystycznemi*, t. j. używającemi się nie powszechnie i zwykle w języku, lecz tylko gdy mowa o pewnych czasach, miejscach i okolicznościach. Zresztą przypomnijmy sobie niedawną polemikę recenzentów naszych z p. Makuszewem i jej rezultaty. Co się zaś tycze nabytków słownikowych z języka słowiańskiego, czy, jak chce pan M., nowosłowieńskiego, to mnie przynajmniej są one zgoła nieznane: nie spotkałem dotąd w polszczyźnie *ani jednego* od słowieńców zapożyczonego wyrazu. Przyczyna tego prosta; nie sąsiadowaliśmy i nie mieliśmy, jak i nie mamy, żadnych bezpośrednich stosunków z nimi.

Z tych powodów stanowczo zaprzeczam, aby mógł istnieć jakikolwiek „genetyczny i bezpośredni związek“ zapożyczonych wyrazów polskich ze starosłowiańskiemi lub słowieńskiemi. Ażeby tego związku dowieść, trzeba okazać drogi dziejowe i geograficzne, któremiby te wyrazy wędrowały; bez tego wszelkie zbliżenia i wywody głosowniowe, zdaniem mojem, nie mają istotnej wartości. Dla tego to, nie przypuszczając, aby pan M. wierzył w możność przybycia do nas wyrazu *ćwikla* przez pośrednictwo języka starosłowiańskiego lub słowieńskiego, mniemałem, pisząc recenzyę, iż chyba go wprost z greczyzny wywodzi.

Tyle co do zasady ogólnej. A teraz przypatrzmy się szczegółom dowodów pana Malinowskiego.

W słowniku starosłowiańskim Miklosicha tylko forma *seuklъ* zasługuje na nazwę starosłowiańskiej; dwie inne: *sveklъ* i *svekla* są bardzo późnej daty i w takim stosunku zostają do języka starosłowiańskiego, w jakim np. są wyrazy, używane przez Długosza lub Sarbiewskiego do łaciny starożytnej. Formy *svêklъ*, którą pan M. przytacza, słowniki Miklosicha i Wostokowa nie mają.

Wyraz *sicla* mógłby być spolszczony i bez udziału słoworodu ludowego, (jak to widać na następnych przykładach) i niema konieczności, ani żadnej analogii, aby miał brzmieć *sikla*, lecz prawdopodobnie przeszedłby na *sykla*, jak *sykl, sykulski*, *Sylfida, Sylwan*, *Sylwester* i t. d.

Czy wyrazy *ćwik, ćwiczyć* są „rodzimemi“ polskiemi, jak twierdzi pan M., pozwalam sobie wątpić, z powodu istnienia niemieckiego wyrazu *zwicken*, oznaczającego, między innemi pojęciami, „czemś cienkiem smagać,“ a napotykanego już w mowie starogórno-niemieckiej (Weigand).

Świronek pan M. zalicza do wyrazów litewskich: rzecz to wątpliwa; porównać Brücknera Slav. Fremdw. im Lit. 24. To samo należy powiedzieć, z większą jeszcze wątpliwością, o wyrazie *boćwina;* myślałbym, iż litwini wyraz ten wzięli od rusinów, bo białorusini mają formy *botvà, botòvje* (Nosowicz), a wielkorusini *botvà*, pochodzące zapewne z łaciń. *beta*. Wyraz *paskudny* zaliczony jest także przez pana M. do litewskich; nie wiem dla czego, bo litwini tego wyrazu nie używają; bardzo być może, iż jest on szczeropolskim. Wyrazów *sażeń*, *praporszczyk*, *pralotka*, *wziatka* na Litwie nie słychać.

Inne zaś wyrazy (oprócz tatarskich), przytoczone przez pana M., prawie wszystkie nie są w powszechnem użyciu w Polsce, lecz tylko w pewnej prowincyi; gdy przeto mowa o obcych wpływach na *język polski,* to prowincyonalizmy, zdaje mi się, za żaden dowód służyć nie mogą.

Co do serbskiego wyrazu *borażdje,* to forma, w której go napisałem, jest bez pomyłki, bo tak ją piszą serbowie, używający abecadła łacińskiego; jak się ten wyraz wymawia, tego niezawodnie nie nauczy żadna transkrypcya, chociażby tak niezwykła, jak proponowana przez pana M. (borażjdżje, tak!). Zresztą, ile mi wiadomo, istnieje zwyczaj u nas i w rozprawach językoznawczych pisania przytaczanych wyrazów słowiańskich w takiej pisowni, jakiej się trzyma naród ich używający, a jeżeli się nie posługuje czcionkami łacińskiemi, to się je oddaje sposobem przez Miklosicha wprowadzonym. Wolałem więc i wolę nie tam w słowniku Karadżycza zazierać, gdzie czytelnika odprawia pan M., ale o jedną stronę pierwej, nad którą stoi tytuł: „Alphabeti serbici cum.... cultioris Europae alphabetis parallelismus:“ tu jest i chorwacka transkrypcya cyrylicy.

Powtóre, co do form *staro-* i *nowosłowieński*. Pan M., mówiąc o języku tak zwanym cerkiewnym, woli go mianować *starosłowieńskim* niż *starosłowiańskim*, a mowę słowieńców *nowosłowieńską* raczej niż po prostu *słowieńską*. Co do pierwszego, powołuje się na własną nazwę w tym języku i na zwyczaj pisarzy naszych XVI wieku. Trzyma się, jak widać, Miklosicha, który używa nazw *altslovenisch* i *neuslovenisch*, a wyliczając języki słowiańskie, *neuslovenisch* tuż po *altslovenisch* umieszcza. Dowodzi to, iż Miklosich, a za nim i pan Malinowski, uważają język tak zwany cerkiewny za mowę dawnych słowieńców. Znaczna jednak większość językoznawców tego poglądu nie podziela i wogóle sprawa o tem, do którego z żyjących narzeczy starosłowiańskie jest najbliższem, należy do punktów spornych w nauce. Już więc dla tego samego wypadałoby unikać przedwczesnego nazywania nieokreślonej ostatecznie mowy starosłowieńską. Że w języku tym istnieje przymiotnik *slovênьskъ*, odnoszący się właśnie do tego języka, to nas do naśladowania nie obowiązuje, bo np. niemcy, węgrzy, włosi i t. d. wcale inaczej nazywają siebie niż my ich i nikt z tego powodu przeciw odwiecznemu zwyczajowi mowy naszej nie występuje.

Że Kochanowski i inni dawni pisarze nasi używali formy *słowieński,* to prawda; ale czyż stąd wynika, abyśmy musieli i my dziś to samo czynić? W takim razie trzebaby chyba mówić i *słowienin,* bo jakżeby obok rzeczownika *słowianin* mógł stać przymiotnik *słowieński;* trzebaby może mówić i *słowak* zamiast *słowianin,* bo tak pisano u nas w XVI w. W cóżby się obróciły w takim razie te delikatne, długą pracą wyrobione, w najnowszych książkach naszych przyjęte i prawie ustalone odcienie: 1) *słowiański* (t. j. powszechnie lub zbiorowo słowiański); 2) *starosłowiański* (cerkiewny, altbulgarisch, altslavisch); 3) *słowieński* (do słowieńców należący); 4) *starosłowieński* (do ich przodków należący) i 5) *słowacki* (do słowaków zakarpackich należący)? Jeżeli starosłowieńskim mianować będziemy język tak zwany cerkiewny, to jakże nazwiemy mowę, w której pisali Juryczycz, Truber i inni?

Z tych powodów obstaję i obstawać będę za ściłem rozróżnianiem form *słowiański* i *słowieński* i za nieodstępowaniem od zwyczaju.

Kończąc rzecz moją, pozwolę sobie zauważyć, iż z polemiki pana M. przebija się pewne rozdrażnienie, widoczne w używaniu wyrażeń nie zupełnie odpowiednich powadze dyskusyi, mającej być naukową; takie np. zwroty, jak że „w aptekach wyrazów nie wyrabiają,“ że „jakobyśmy (po wyraz) do Bizancyum jeździli, albo wypisali go pocztą“ i t. p., albo taka niewczesna insynuacya, że pewne twierdzenie p. Rostafińskiego jest „w dobrym duchu,“ — nie powinnyby, zdaniem mojem, wychodzić z pod pióra uczonego, roztrząsającego pytania naukowe.

Jan Karłowicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zmiany ministeryalne. Ministrowie: hr. Loris Melików (sprawy wewnętrzne) i Abaza (finanse) uwolnieni zostali od obowiązków. Miejsce pierwszego, zajął hr. Ignatiew, drugiego zaś Bunge.

Sprawy społeczne. We Lwowie zawiązane zostało nowe stowarzyszenie wzajemnej pomocy rękodzielników, mające na celu zapewnienie pomocy materyalnej członkom swym, w razie kalectwa lub innych nieszczęśliwych wypadków, oraz zabezpieczenie bytu sierot i wdów po niezamożnych pracownikach. Stowarzyszenie to przyjęło nazwę *Rodzina* i zakłada filie w 72 miastach galicyjskich.

— W temże mieście powstało towarzystwo opieki nad uwolnionymi więźniami, którego statuty zostały już przez rząd zatwierdzone.

— W Kołobrzegu na Pomorzu, począwszy od d. 21 sierpnia do 7 września r. b. odbywać się będzie wystawa przemysłowa i ogrodnicza.

— W Wiedniu, Muzeum Sztuk i Przemysłu urządziło międzynarodową wystawę specyalną dzbanów i naczyń do nich podobnych, od najprostszych do najbardziej ozdobnych. Wyroby pomieszczone na wystawie odnoszą się do różnych czasów, począwszy od średniowiecznych do najnowszych. Oryginalna ta wystawa trwać będzie pięć miesięcy.

— W czerwcu otwartą będzie w Warszawie wystawa ogrodnicza. Urządzoną być ma w ogrodzie Frascati i trwać parę tygodni.

Akademia. W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 21 b. m. posiedzenie Wydziału filologicznego pod przewodnictwem d-ra Karola Estreichera. Przewodniczący przedstawił nadesłane prace: prof. d-ra Udalryka Heizmana *Przyczynek do nauki o urabianiu się wyrazów niemiecko-polskich* i Jana Nep. Janowskiego z Jouvisy we Francyi *Spostrzeżenia o polszczyźnie w czasopismach lat ostatnich,* obie odstąpiono komisyi językowej. Dr. Wisłocki zdał następnie sprawę *O stanie rękopisów w archiwum senatu uniwersyteckiego w Krakowie;* prof. dr. Malinowski odczytał rzecz *O pochodzeniu wyrazu ćwikla;* w końcu sekretarz wydziału prof. dr. Szujski przedstawił plan wydawnictwa najdawniejszych humanistów łacińsko-polskich na r. 1884, jako rok jubileuszowy Jana Kochanowskiego. Po dyskusyi wyczerpującej, zgodził się też Wydział na zaprojektowaną publikacyę, która w dwóch dużych tomach objąć ma od Grzegorza z Sanoka począwszy, poetów naszych łacińskich, aż do wystąpienia Jana Kochanowskiego.

— W krakowskiem Kole artystyczno-literackiem senator Hoszowski miał odczyt o *Wicie Stwoszu.*

— W Akademii Mickiewicza w Bolonii odbył się odczyt Teofila Lenartowicza o *literaturze słowiańskiej*. Poeta odczytał między innemi własny przekład *Farysa* Mickiewicza.

— Na ostatniem posiedzeniu publicznem w akademii nauk i umiejętności w Krakowie wybrano kandydatów na przyszłych członków tej instytucyi,

a mianowicie na zwyczajnych: prof. wszechnicy lwowskiej, dr. Edwarda Rittnera, znanego dziejopisarza czeskiego Władywoja Tomka i prof. Caro z Wrocławia, autora *Dziejów Polski*, kontynuatora Roeppla; na członków nadzwyczajnych zaproszono: dr. Tadeusza Wojciechowskiego ze Lwowa, dr. Wincentego Zakrzewskiego i dr. Stanisława Smolkę, profesorów Akademii Jagielońskiej, prof. uniwersytetu dr. Bron. Radziszewskiego ze Lwowa i hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego.

Literatura polska. Deotyma ukończyła nową powieść p. t. *Rozwiązany węzeł.*

— *Biblioteki Warszawskiej* zeszyt za maj wyszedł z druku i zawiera prace następujące: *O fraszkach Jana Kochanowskiego*, przez Felicyana; *Dzieje szlachty okolicznej w owruckim powiecie*, przez dr. Antoniego J.; *Historycy współcześni jako statyści. Przyczynek do dziejów teoryi politycznych wieku bieżącego*, przez dr. I, B. Oczapowskiego; *Siostra miłosierdzia*, powieść Castelara; *Bolesław Jabłoński*, przez Juliusza Mien; *Przegląd pedagogiczny; Kronika poznańska; Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego; Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne; Nekrologia.*

— Zeszyt Ateneum za maj wyszedł z druku i zawiera artykuły następujące: *Kółka rolniczo-włościańskie i rozwój pracy około rolniczej oświaty ludowej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach zachodnich* przez dr. Władysława Łebińskiego; *Kometa*, powieść przez Jana Zacharjasiewicza; *Współczesna powieść we Francyi* I Gustaw Flaubert, przez Antoniego Sygietyńskiego; *Rezolucya Galicyjska*, przez Ignotusa; *Szkice z Anglii*, część druga, przez Sewera; *Wpływ tytoniu na organizm zwierzęcy oraz higiena palących*, przez dr. Szokalskiego. *Nowe opracowanie literatur słowiańskich*, przez Wiktora Czajewicza; *Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie; Kronika miesięczna.*

— Zapowiedzianej *Historyi Literatury Powszechnej* I. Scherra w tłomaczeniu B. Zawadzkiego wyszedł zeszyt pierwszy. O książce tej pomówimy szczegółowo.

— *Studya historyczno-literackie* Jul. Bartoszewicza, tom trzeci.

— *Biblioteki umiejętności prawnych* zeszyt 65 wyszedł z druku i zawiera ciąg dalszy pracy pr. dr. A. Okolskiego p. t. *Wykład prawa administracyjnego.*

Dziennikarstwo zagraniczne. W Würtzburgu wyszedł numer próbny organu antisemickiego p. t. *Antisemit*, który natychmiast przez policyę został skonfiskowanym.

— W Paryżu zaczął wychodzić od d. 22 z. m. języku arabskim dziennik polityczny i literacki p. t. *Al-Bassir*. Zadaniem organu tego jest ułatwienie wzajemnych stosunków między ludnością francuską i arabską w posiadłościach francuskich na wschodzie.

— W Berlinie skonfiskowano niedawno numer *Tagblatu* z powodu jednego rozdziału pomieszczonej w odcinku tego pisma najnowszej powieści Spielhagena p. t. *Angela.*

Dziennikarstwo rosyjskie. Tygodnik rosyjski *Żywopisnoje Obozrenie*, pomieszcza szkice Szajnochy w przekładzie Niesłuchowskiego.

Literatura niemiecka. U Brockhausa w Lipsku wyjdzie niebawem druga część dzieła Oskara Meding, słynnego romansopisarza znanego pod pseudonimem Grzegorza Samarowa, p. t. *Memoiren der Zeitgeschichte.* Część ta obejmie wspomnienia z roku 1866.

— Dr. T. Jacob, *Inductive Erkenntniss*, Berlin. *E.* Eleuler i Karol Lehman *Zwangsmässige Lichtempfindungen durch Schall und verwandte Erscheinungen auf dem Gebiete der anderen Sinnesempfindungen.*

Literatura francuska. Najnowszego dzieła Wiktora Hugo, noszącego szumny tytuł *Cztery wiatry ducha*, wyszedł świeżo z druku tom pierwszy, drugi zaś znajduje się już pod prasą. Tom ten zawiera dwa utwory dramatyczne, a mianowicie komedyę i dramat, w tomie drugim oprócz kilku drobnych utworów znajduje się poemat większych rozmiarów p. t. *Les revolutions.*

— Niebawem ukazać się ma na widok publiczny najnowszy romans Alfonsa Daudet'a p. t. *Numa Roumestan.*

— Roisel, *La substance*, essai de philosophie rationelle, Paryż.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przyszły obrazy następujące:

Badowskiego Adama, *Portret mężczyzny;* Cieszkowskiego Henryka, *3 krajobrazy z okolic Rzymu;* Gepnera Wł., 4 *krajobrazy z okolic Ostendy;* Heymanna St., *Portret damy;* Lipskiego Zdzisława, *Ciekawa książka;* Małeckiego Wł., 2 *krajobrazy;* Maleszewskiego Tytusa, *Portret Artura Grottgera* i *Kalina;* Mireckiego Kaz., *Portret mężczyzny;* Pane Nadziei, *Widok z Wenecyi* i *Fantazya;* Wastkowskiego Franc., dwa obrazy, *Pole i Droga;* Sowińskiego Edwarda, *Monte Pincio.*

Wystawa dzieł sztuki. W pałacu Brühlowskim w d. 10 czerwca r. b. otwartą ma być wystawa dzieł sztuki w zastosowaniu do rzemiosł i przemysłu i trwać do 10 lipca. Komitet, zajmujący się jej urządzeniem, odbył już szereg posiedzeń i uchwalił jej program, według którego na wystawę przyjmowane będą przedmioty mające wartość artystyczną, a należące do jednego z następujących działów:

a) wyroby stolarskie, rozmaitych epok i czasów;

b) wyroby ceramiczne: gliniane, fajansowe, porcelanowe;

c) wyroby szklanne;

d) wyroby z metali: broń, zbroje i inne tego rodzaju okazy, z rozmaitych epok;

e) wyroby z kości słoniowej i na kości słoniowej, tutaj zaliczyć należy i malowanie na kości;

f) emalie;

g) koronki, tkaniny i skóry;

h) wyroby z drzewa i kamieni;

i) okazy sztuki drukarskiej i introligatorskiej.

Konkursy. Komitet Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych ogłosił powtórnie konkurs na wykonanie biustu d-ra medycyny Mianowskiego, b. vice-prezesa towarzystwa.

Warunki konkursu są nanastępujące:

1) Popiersie wykonane ma być z gipsu.

2) Wymiary zastosowane być powinny do odpowiednich biustów, znajdujących się w zbiorach towarzystwa.

W nagrodę za najlepszą pracę konkursową zamówionem będzie u autora wykonanie biustu z marmuru kararyjskiego.

Termin dostarczenia prac konkursowych oznaczono na dzień 15 września r. b.

Komitet zajmujący się wydaniem dzieł Jana Kochanowskiego, podjętego w celu uczczenia trzechsetnej rocznicy zgonu wieszcza narodowego, zamierzył po uzyskaniu właściwego pozwolenia urządzić w roku bieżącym w Warszawie widowisko sceniczne, z którego dochód będzie obrócony na powiększenie funduszu wydawnictwa.

Widowisko to ma się składać z *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego i komedyi *Z chłopa król* Piotra Baryki. Do programu wchodzi także deklamacya „poematu na cześć J. Kochanowskiego." W tym celu komitet odwołując się do wszystkich naszych poetów, ogłasza konkurs na poemat odpowiedniej treści. Nie ma to być wierszowana biografia poety Czarnoleskiego, ale uwydatnienie wszystkich głównych cech jego charakteru jako człowieka i twórcy, przedstawienie ważniejszych jego życia kelei w domu, w rodzinie, w kraju. Słowem poemat odsłonić winien dzisiejszemu pokoleniu duszę ojca poezyi polskiej.

Poemat ten jako przeznaczony na deklamacyę nie może być rozciągły, ale do rozmiarów deklamacyi zastosowany, wystarczający mniej więcej na kwadrans do 20 minut czasu.

Utwór uznany za najlepszy pozostanie własnością komitetu wydawniczego, który zajmie się jego ogłoszeniem. Nagrodą będzie suma rubli sto wypłacalna niezwłocznie po przedstawieniu, oraz asygnacya na ozdobny egzemplarz wydawnictwa opatrzony imienną dedykacyą autorowi poematu. Utwór najlepszy po premiowanym otrzyma podobnież asygnacyę na egzemplarz wydania ozdobnego z dedykacyą imienną z pozostawieniem autorowi prawa własności, inne zaś utwory powrócone będą autorom po ogłoszeniu rezultatu.

Na sędziów konkursu zaproszeni zostali pp. Jenike Ludwik, Kaszewski Kazimierz, Królikowski Jan, Pietkiewicz Antoni (Ad. Pług), Plenkiewicz Roman.

Utwory składać należy pod adresem profesora Józefa Przyborowskiego, Warszawa przy ulicy Żabiej Nr. 4. w kopertach zapieczętowanych oznaczonych godłem, do czego dołączyć wypada inną kopertę z tem samem godłem i nazwiskiem autora. Termin ostateczny do złożenia utworów naznacza się na dzień 15 września roku bieżącego.

Przewodniczący w komitecie
Konstanty Przezdziecki.
Członek komitetu
Roman Plenkiewicz.

Archeologia. Na polach miasteczka Grocholice, oddalonego o trzy mile od Piotrkowa, odkryto cmentarzysko pogańskie, zawierające znaczną ilość wiorów krzemiennych i nukleusów.

— Na bulwarze Arago, w Paryżu, wydobyto dobrze zachowany sarkofag ogromnych rozmiarów. Badania poczynione w następstwie przekonały, iż natrafiono na ślad cmentarza gallo-rzymskiego; na niektórych trumnach znajduje się popiersie Nerona i Konstantyna. Dotąd odnaleziono 78 trumien, w tej liczbie 47 kamiennych sarkofagów.

Teatr. Najnowsza komedya Sardou *Divorçon* (Rozwiedźmy się) wystąpiła na scenie krakowskiej.

— Towarzystwo dramatyczne poznańskie, goszczące w Belle-vue, wystawiło komedyę Mosera p. t. *Spirytyści.*

Nekrologia. Zygmunt Sidorowicz, utalentowany malarz, zmarł w Wiedniu w wieku lat 34.

— F. Dingelstaedt, poeta i dyrektor teatru w Burgu, tamże zmarł.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Abonentom naszym, którzy w ubiegłym tygodniu uwiadomili nas o nieodebraniu rozmaitych numerów *Prawdy:* wszystkie te numery zostały ponownie wysłane. Drugi dodatek bezpłatny za kwartał bieżący (dokończenie pracy Pypina) wysłany zostanie wkrótce.

— *P. Chrzanowskiemu w Skierniewicach.* Wyślemy po raz *trzeci.*

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Мая 1881г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.